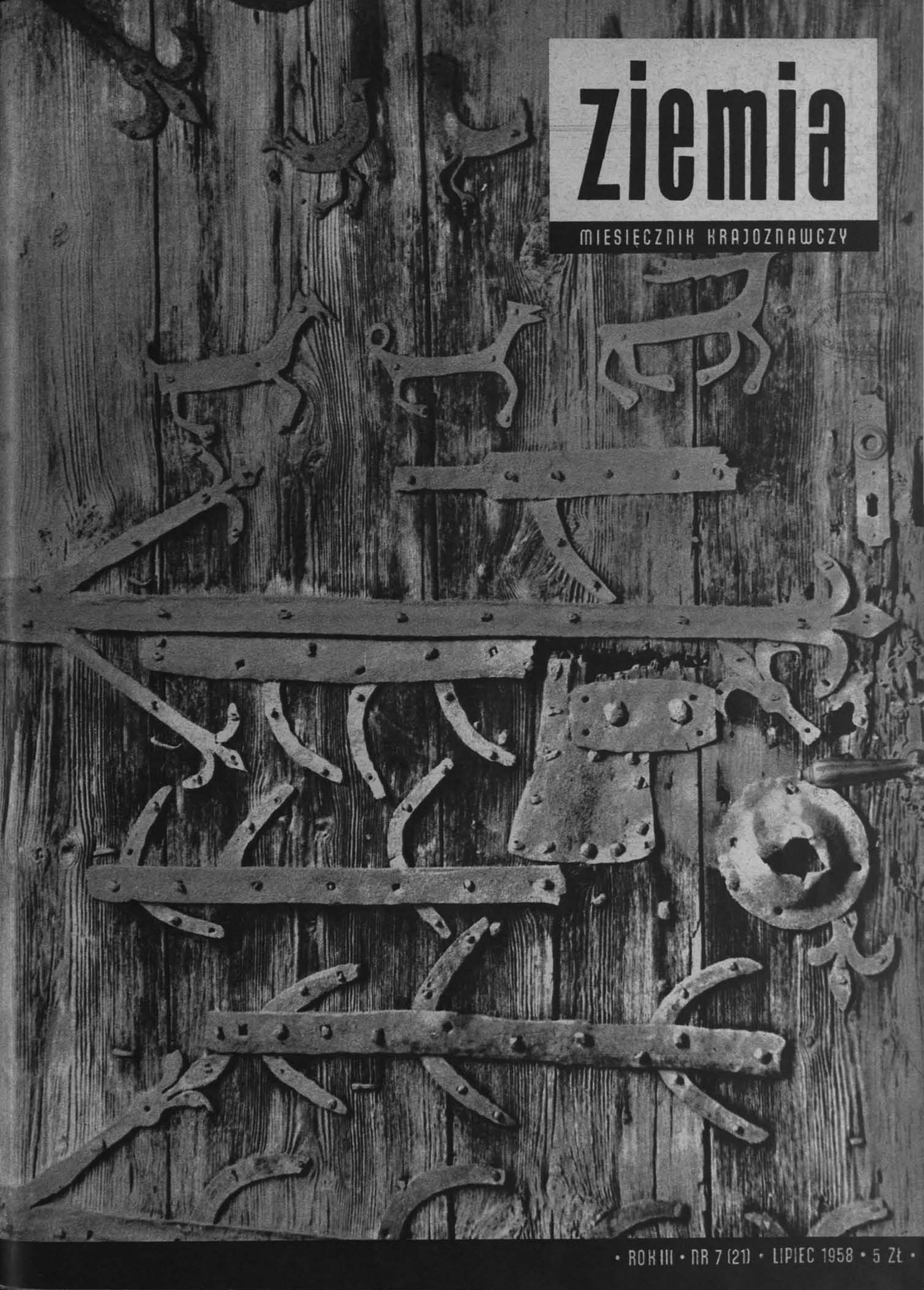




ziemia

MIESIĘCZNIK KRAJOZNAWCZY

BOL KÓW

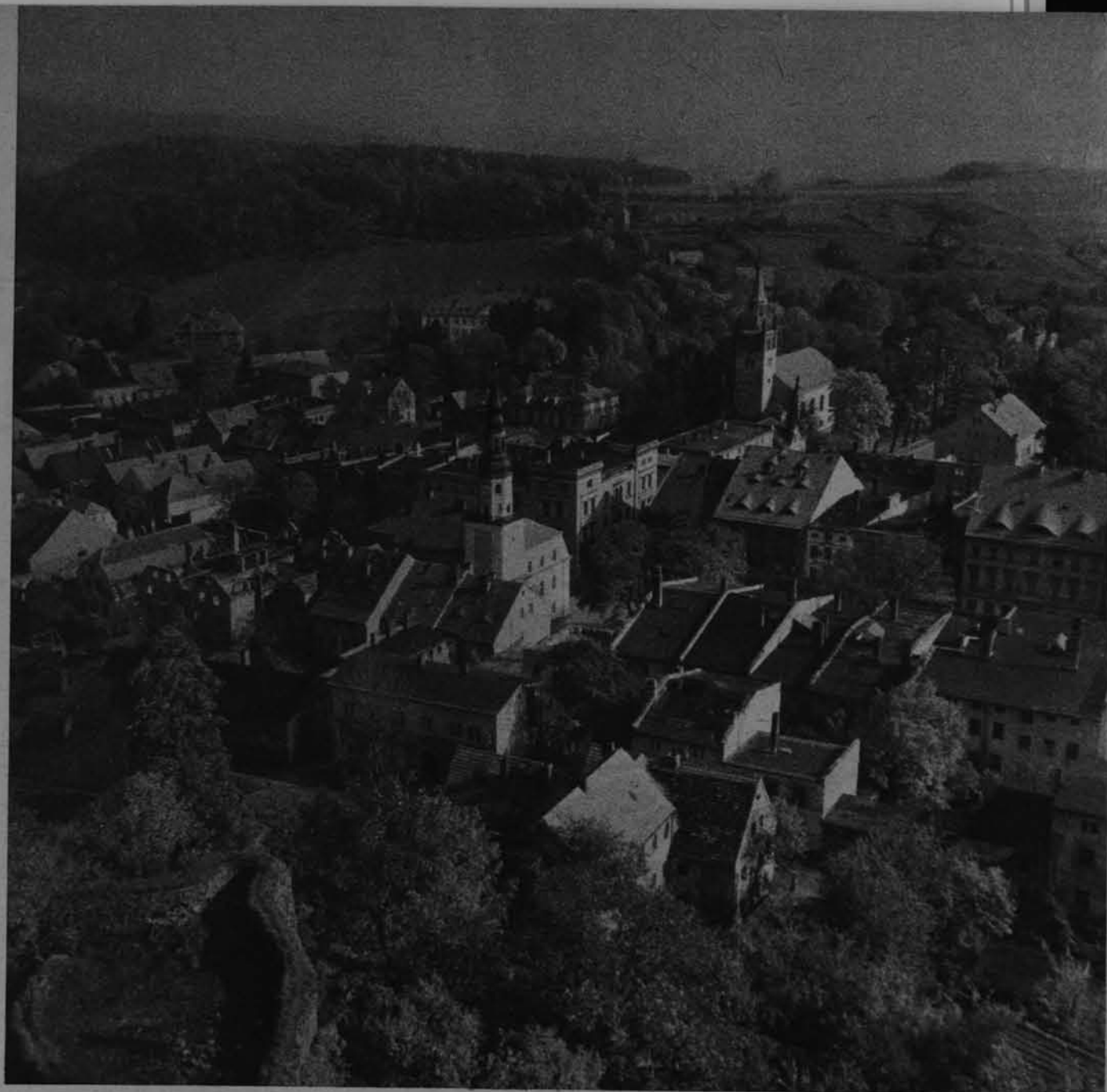
Leży u źródeł Szalonej Nisy wśród łagodnych wzgórz, które łączą się z trzema pasmami gór, zamykającymi od południa i zachodu kotlinę kamieniogórska. Od strony północnej otwiera się szerokie, wesołe i malownicze podgórze, przechodzące stopniowo ku północnemu wschodowi w nizinę wrocławską.

Uprawne pola tworzą kolorową szachownicę, przerywaną wstęgami szos i dróg wijących się w dolinach. Wąska struga Szalonej Nisy obejmuje swym ramieniem miasteczko, które przycupnęło u stóp góry. Na jej szczycie wznosi się ruina średniowiecznego zamku.

Bolków — jedno z najstarszych miasteczek dolnośląskich. Bogate w tradycje i pełne cennych zabytków przeszłości. Na straży jego stoją od wieków dwa zamki: zamek bolkowski i zamek w Swinach oddalony od Bolkowa o 2 km, którego ruiny widoczne są z dala na przeciwnym wzgórzu. Oba stanowiły dawniej strażnice, broniące drogi, wiodącej ku przełęczy kamieniogórskiej do Czech.

Przeszłość Bolkowa wiąże się ściśle z losami dynastii Piastów świdnickich, ostatnich Piastów śląskich, którzy wy-

C. D. NA STRONIE 4



Fot. M. Kornecki



Powyżej: uliczka w Bolkowie. Po prawej u góry: widok miasta z wieży zamkowej. Obok: widok z baszty na mury zamku.



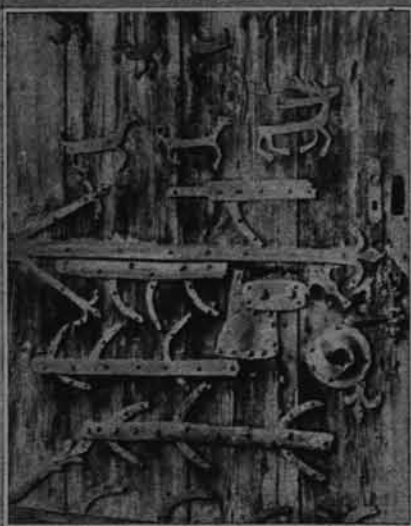
Autorka artykułu z zawodu historyczka sztuki, pracownik naukowy Muzeum Śląskiego we Wrocławiu.

DANUTA
OSTOWSKA

DANUTA OSTOWSKA	Bolków	2
KRZYSZTOF WOLSKI	Demon chowaniec	5
KAZIMIERZ BIELENIN	Trzy i cztery	7
DAWNE DRUKI		9
MŁYNY		9
JANUSZ BOGDANOWSKI	Włoskie ogrody	10
SKARBCHYK NUMIZMATYCZNY		13
MARIAN KORNECKI	Krakowskie parostatki	14
MARIAN MICKIEWICZ	Rejs „Oriona”	15
JERZY FICOWSKI	Warszawski Słowak	18
ANDRZEJ RADOMSKI	Skamieliny	20
ORLI LOT		22
JAN BENDA	O polskim stroju wojskowym	24
KRAJOZNAWSTWO ZA GRANICĄ		26
TADEUSZ GRYGIER	Akcja Banku Lubawskiego	29
RECENZJE		30
KRONIKA KRAJOZNAWCZA		31

NASZA OKŁADKA

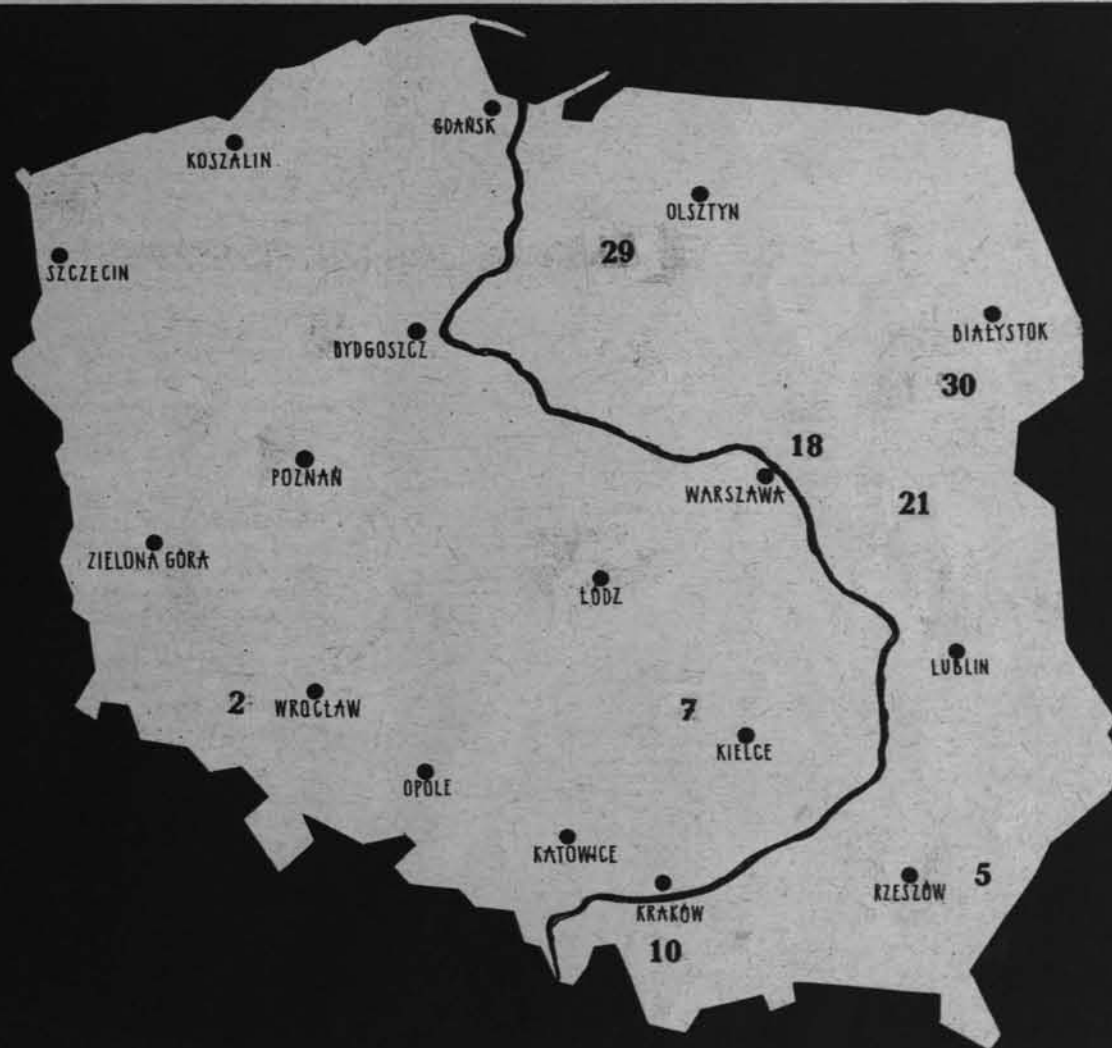
przedstawia okute drzwi zabytkowego kościoła wiejskiego w Miroszynie Dolnym w Zielonogórskim. Obszernej informacji o tym zabytku szukajcie na str. 31. Fot. Marian Kornecki.



ziemia

ZIEMIA — ilustrowany miesięcznik krajoznawczy, organ POLSKIEGO TOWARZYSTWA TURYSTYCZNO-KRAJOZNAWCZEGO. Przewodniczący Komitetu Redakcyjnego — MAREK SOBOLEWSKI, redaktor naczelny — PRZEMYŚLAW BURCHARD, sekr. red. — MACIEJ KUCZYŃSKI, red. działów — LESZEK DZIEGIEL i MARIAN KORNECKI, red. techniczny — ZYGMUNT STRYCHAŁSKI. Adres redakcji — Kraków, Basztowa 6, tel. 541-44. Wydawca: POLSKIE TOWARZYSTWO TURYSTYCZNO-KRAJOZNAWCZE, Realizacja: PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE, Oddział w Krakowie, Smoleńsk 14, tel. 596-76. Zam. nr 431/58, S-91. Drukarnia Narodowa w Krakowie.

Liczby na mapie oznaczają numery stron, na których piszemy o danej okolicy



PRENUMERATA W KRAJU

Prenumeratę przyjmują placówki pocztowe, listonosze, centrala „Ruchu” w Warszawie, Srebrna 12 (konto PKO dla wpłat 1-6-100024) oraz Oddziały „Ruchu” w W-wie, w miastach wojewódzkich i powiatowych.

Cena prenumeraty: kwartalnie 15 zł, półrocznie 30 zł, rocznie 60 zł.

PRENUMERATA ZE ZLECENIEM WYSYŁKI ZA GRANICĄ

Czytelnicy posiadający krewnych i znajomych za granicą mogą zaprenumerować nasze pismo ze zleceniem wysyłki za granicę w PKWZ „Ruch”, W-wa, ul. Wilcza 46, nr konta PKO 1-6-100024. Cena tej prenumeraty — kwartalnie 21 zł, półrocznie 42 zł, rocznie 84 zł.

POPZEDNIE NUMERY ZIEMI

można nabywać w redakcji „Ziemi”, Kraków ul. Basztowa 6, a także w sklepach prasy antykwarycznej „Ruchu” w Warszawie, przy ul. Wilejskiej 14 i Puławskiej 108, oraz zamawiać listownie pod tymi adresami lub w centrali „Ruchu” w W-wie, Srebrna 12, Dział Sprzedaży Prasy Antykwarycznej.

ROCZNIKI ZIEMI

za rok 1957 można nabywać w redakcji, Kraków, Basztowa 6, lub zamawiać listownie pod tym adresem. Wysyłka w kolejności zgłoszeń za pobraniem pocztowym. Cena rocznika ozdobnie oprawnego 100 zł + porto, nieopranego — 60 zł + porto

ZA GRANICĄ

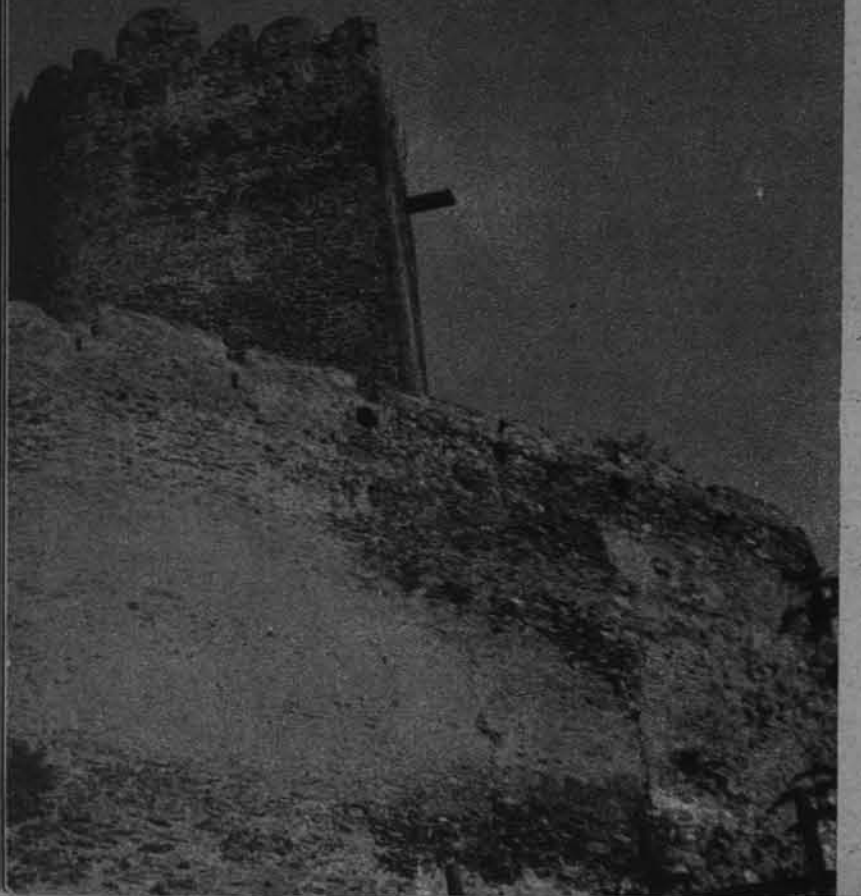
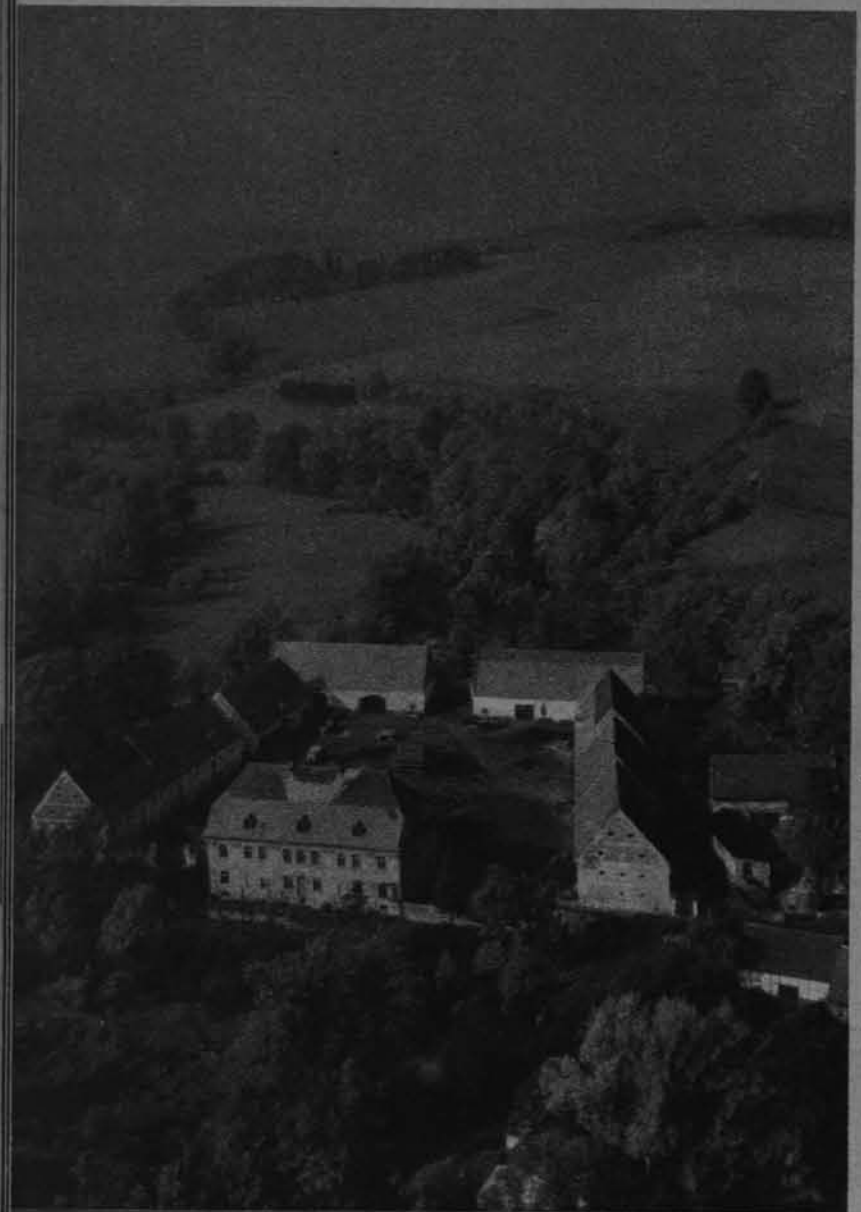
zamawiać można ZIEMIĘ na 15 dni przed datą prenumeraty wpłacając odpowiednią sumę na konto 2-38-51 Narodowy Bank Polski, Warszawa, Traugutta 7, dla CHZ „Ars Polona”, zaznaczając wyraźnie: „wpłata na prenumeratę ZIEMI” i podając dokładny adres, na który pismo ma być wysyłane.

Cena ZIEMI: w St. Zjednoczonych AP — dol. 0,35, rocznie 4,20; w Wielkiej Brytanii — £ 0,23, rocznie 1,89; we Francji — Fr. 105, rocznie 1380, w Niem. Republice Federalnej — DM 1,30, rocznie 19,20; w Australii — £ A 0,27, rocznie 1. 10.7. Cena egzemplarzy archiwalnych jest wyższa o 10%.

Zamówienia na ZIEMIĘ można także składać m. in. w następujących księgarniach: ZSRR — w „miestkich i gorodskich Otdielach Sojuzpieczat” NRD — Zeitungsver-

triebsamt II C, Berlin NW, Clara Zetkin str. 62; Czechosłowacja — 1) Melantrich, Abt. I, Ausl. Presse, Praha XVI, V. Hugo 4, 2) PZKO Knihkupecvi Karvina II/Doly tr. Cslow. Armady, 3) PZKO C. Tešin Gotvaldova 15; Anglia — Cracovia Book Company, 58 Pembroke Rd. London W. 8; Australia — 1) Current Book Distributors, 40, Market Street Sydney, New South Wales, 2) Gordon & Gotch (A) Asia Ltd. Melbourne; Israel — 1) „Sifriat Poalim” Workers Book-Guild (Hasomer Hetzair) Ltd. Tel-Aviv, 73 Allenby St. P.O.B. 526, 2) „Haifsepac”, Haifa, Arlosorov St. 11 Nordan St. 15 P.O.B. 1794, 3) „Lepac”, Tel-Aviv, P.O.B. 1136; Kanada — Syrena Book and Travel Agency 2 P. 94 A Dundas Street, W. Toronto 3, Ontario; Francja — 1) Le Livre Polonais en France, Paris VIII-ème, 29 bis, rue Jean Goujon, 2) Agence Littéraire et Artistique Parisienne, 7, rue Debelleyne, Paris III-e; USA — Dolphin Service, 441 Bellevue Drive, Falls Church 1, Virginia.

BOLKÓW



trwale dążyli do utrzymania politycznej więzi z Polską.

Wyrośli ono z osady targowej, na co wskazuje zachowany dobrze kształt rynku w formie wydłużonego prostokąta. Osada ta istniała już na długo przed nadaniem jej praw miejskich. Istniał tu także zameczek, prawdopodobnie drewniany, którego powstanie tradycja łączy z imieniem Bolesława Wysockiego, założyciela dynastii Piastów śląskich. On to miał w 1165 r. wznieść zamek otoczony wałami. Tradycja podaje również, że w 1202 r. Henryk Brodaty oddał ten zamek Templariuszom, którzy w Bolkowie przebywali aż do 1313 r. — do chwili rozwiązania zakonu przez papieża.

Najstarsze dane źródłowe dotyczące miasteczka pochodzą dopiero z lat 1276 i 1277. Pierwsze znajdujemy w dokumencie sądowym, w którym występuje jako świadek wójt Konrad. Drugi — to dokument książęcy potwierdzający istnienie twierdzy, a zaczynający się od słów: „In Hain castro nostro...”. Miasto bowiem nosiło pierwotnie nazwę Hain.

Miasteczko nabiera znaczenia i staje się ważnym punktem strategicznym księstwa świdnicko-jaworskiego dopiero za panowania Bolka I (zm. 1301 r.). Książę ten, odznaczający się wybitnymi zdolnościami, jak również przywiązaniem do Polski i umiłowaniem niezależności politycznej, był wiernym sprzymierzeńcem Łokietka w jego planach zjednoczenia kraju. Na południowo-zachodniej granicy swego księstwa stworzył Bolko silny system obronny, strzegący jego posiadłości przed zakusami czeskich Luksemburgów. W skład tego systemu wchodził i Bolków, gdzie na miejscu dawnego drewnianego zameczku książę wzniósł potężną twierdzę połączoną pasem murów obronnych z leżącym poniżej miasteczkiem. Dzięki silnym fortyfikacjom odpięła ona niejednokrotnie ataki nieprzyjacielskie. Zamek stał się wkrótce ulubioną rezydencją samego księcia, który tu umieścił skarbiec książęcy.

Bolko I otoczył miasto szczególną opieką. W 1293 r. lokował je na prawie niemieckim, popierał jego rozwój, dbał o potrzeby mieszkańców zwalniając ich na wiele lat od podatków i świadczeń. Założył tu tkalnię, która przez długie lata była jedynym zakładem przemysłowym Bolkowa. On również zatwierdził statut cechu tkaczy. Jemu także zawdzięcza swe powstanie kościół parafialny, ufundowany pod koniec XIII wieku. Żona Bolka, Anna, położyła kamień węgielny pod pierwszy szpital.

Nic więc dziwnego że kiedy syn jego Bernard, który odziedziczył księstwo świdnickie, chciał uczcić pamięć ojca, nadał miasteczku Hain nazwę Bolkowa. Było to w roku 1313.

Smutne czasy zaczęły się dla miasta po śmierci ostatnich Piastów świdnickich: Bolka II (zmarłego w 1368 r.) i jego żony Agnieszki, kiedy to księstwa: świdnickie i jaworskie przeszły drogą zapisu w ręce Wacława Czeskiego. Stało się ono niebawem zastawem przechodzącym z rąk do rąk. Wojna husycka, prowadzona z wielkim fanatyzmem, wyniszczyła miasto. Zaledwie przeminęła, znów zwały się na nie nieszczęścia. W 1468 r. stanął pod murami Bolkowa król czeski Jerzy z Podjebradów i po czterokrotnym szturmie zdobył go. Zamek oddał zwycięzca swemu wiernemu towarzysowi broni Janowi z Czyny. Wraz z nim wkroczyła do miasta swawola i bezprawie. Zamek stał się siedzibą rycerzy-rozbójników. Ich rabunki i napady stały się wkrótce tak dotkliwe, że mieszczańskie świdniccy i wrocławscy zorganizowali wreszcie zbrojną wyprawę pod Bolków, zdobyli go i wymierzili srogą sprawiedliwość ówczesnemu panu bolkowskiego zamku.

Dotkliwie dała się we znaki miastu wojna 30-letnia, w czasie której dochodziło do walk na tle religijnym w samym Bolkowie. Szturmy wojsk szwedzkich, które wreszcie opanowały miasto, również przyniosły mu wiele szkód. Podobnie w czasie wojny 7-letniej Bolków kilkakrotnie był palony i pustoszone.

W 1703 r. dobra bolkowskie nabył wraz z zamkiem klasztor w Krzeszowie, który pozostał jego właścicielem aż do czasu sekularyzacji zakonu w 1810 r.

Z zabytków Bolkowa wymienić należy przede wszystkim zamek bolkowski. Wzniesiony przez Bolka I i rozbudowany przez jego wnuka Bolka II w XIV w. był potężnym obiektem obronnym. Pustoszony kilkakrotnie i niszczone stanowił mimo to przez długie wieki tak silną twierdzę, że w czasie wojny 30-letniej długo i skutecznie odpięła szturmy biegłych w sztuce oblężniczej wojsk szwedzkich. Dopiero z chwilą przejścia Śląska w ręce pruskie w XVIII



wieku, zamek opustoszał i stopniowo zaczął zamieniać się w ruinę.

Wzniesiony jest na skalistym wzgórzu i jak wszystkie zamki wyżynne kształtem swym dostosowany jest do nierówności terenu. Nieregularne zabudowania skupiają się wokół potężnej wieży, która stanowi najstarszą i najbardziej obronną część zamczyska — ostatni punkt oporu załogi w razie jego zdobycia. Kształt tej wieży, o przekroju gruszkowatym, należy do unikatów na terenie Polski. W wieży znajdował się dawniej skarbiec, a w podziemiu więzienie. Zabudowania mieszkalne grupują się wokół obszernego dziedzińca. Całość opasana jest podwójnym pierścieniem murów, zachowanych dobrze do dnia dzisiejszego. Ruiny budynków mieszkalnych w dochowanej formie pochodzą już z II poł. XVI wieku, kiedy to gruntownie przebudowano zamek, wykorzystując jedynie fundamenty i fragmenty murów zabudowań średniowiecznych. Z tego czasu pochodzi renesansowa attyka wieńcząca budynek pałacowy i szczyt wieży, oraz otwarte balkony od strony dziedzińca w tzw. „domu kobiet”. Zamek, jak podają źródła, był dawniej barwnie polichromowany i bogato wyposażony, posiadał ogród z altanami i zwierzyńcem.

Dziś w wyremontowanym skrzydle zamku mieści się muzeum regionalne. Obrazuje ono historię Bolkowa i całego tego regionu ze szczególnym uwzględnieniem okresu piastowskiego. Znajduje się tu także wystawa dawnej broni.

Kościół parafialny w Bolkowie, ufundowany pod koniec XIII w. przez Bolka I, oparty został w dużej mierze na koncepcji architektonicznej kaplicy św. Jadwigi w Trzebnicy. Był tak samo jednonawowy, podobnie zresztą jak większość niedużych kościołów wczesnogotyckich na Śląsku. Dość w dawnej formie zachowało się pierwotne sklepienie wsparte w nawie na słupkach, a w chórze na ściętych podporach. W wieku XIV kościół rozbudowano, dodając mu nawy boczne i nadając całości charakter budowli halowej. Na uwagę zasługuje tu przede wszystkim piękny wystrój rzeźbiarski: ulścienie kapiteł i zewnętrznych obramień okiennych oraz rzeźby znajdujące się nad kruchtą. Stylowo łączą się one z rzeźbą Madonny z Dzieciątkiem w Jaworze oraz z rzeźbami portalu lwóweckiego i stoją na wysokim poziomie artystycznym.

O zabytkowych kamieniczkach w Bolkowie można napisać osobny artykuł. Niestety zły stan ich zachowania domaga się jak najszybszej konserwacji. Opuszczone i niezamieszkałe w zastraszającym tempie pogrążają się w ruinie. Podjęte ostatnio prace nad częściowym ich zabezpieczeniem są przysłowiową kroplą w morzu. A przecież stanowią one niezwykle piękne i typowe dla śląskiej architektury przykłady budownictwa mieszczańskiego XVII i XVIII wieku.

Ostatnie działania wojenne oszczędziły piękne miasteczko. Zachowały się nietknięte zabytki, niewiele ucierpiały również inne budynki. Dotkliwe szkody wyrządził niestety brak opieki.

Miasteczko jest dziś ciche i pełne uroku, choć niestety ogromnie zaniedbane. Czerwone dachy i białe mury domków piętrzą się harmonijnie na stoku góry zamkowej, w ciasnych uliczkach, pod malowniczymi podcieniami starych kamieniczek o pięknych szczytach barokowych, w rynku, ponad którym wznosi się wieża gotyckiego kościoła drzemie senna cisza, tak charakterystyczna dla małych miast dolnośląskich.

DANUTA OSTOWSKA
ZDJĘCIA:
MARIAN KORNECKI

DEMON CHOWANIEC



ierzenia ludu polskiego przechowały wiele relikwii z czasów przedchrześcijańskich; relikwii dawnych bóstw i duchów, które później przesunęły się w szeregi różnego rodzaju groźniejszych lub mniej groźnych demonów, otaczających swartym kręgiem człowieka w jego wędrówce od kolebki do grobu. Niektóre z nich czasami przechodzą na służbę człowieka.

Wielce niebezpieczni to dla niego słudzy. A jednak w legendach ludowych niejednokrotnie spotykamy się z takimi przykładami. Ludzie chciwi i skąpi, nie bacząc na ewentualne złe skutki w dalekiej przyszłości, chwytają się zabiegów magicznych aby szybciej dojść do celu swych marzeń. Któż, jeśli nie ktoś zakazany i groźny pomoże, gdy nic wokół nie pomaga? Jedyny sposób to mieć własnego szatana. Szatana, którego można zobowiązać do pomocy wyłącznie sobie, na każdym kroku w gospodarstwie domowym.

Takiego domowego demona lud Ziemi Przemyskiej zna po dziś dzień i zowie go „chowańcem”. „Chowańca” łączy się tu bezpośrednio z diabłem a kontakt z nim uważa za wysoce niebezpieczny dla zdrowia i życia gospodarzy hodujących demona, nie mówiąc już o grozie potworka dla obcych.



Rys. J. Świecimski



ET NO GRA FIA

ANDRZEJ
JAKUBOWSKI

Kazali pisać o etnografii jako że sam jestem etnografem, a więc powinienem wiedzieć czym jestem i co studiowałem. Czym jest etnografia pytano mnie przy egzaminie i wtedy pytanie to wydawało mi się proste; ale zabierając się do artykułu popełniłem błąd — sięgnąłem po opinię kilku autorytetów. Z tą chwilą sprawa straciła na jasności, bo jak się okazało, każdy nieco inaczej definiuje tę naukę, inny nieco wyznacza jej zakres, cele, metody. Na dobitkę nieszczęścia wszyscy mówią o etnografii i etnologii — choć podobnie to brzmi, niewątpliwie musi tam być jakaś różnica, ale jaka?

Zaczęłem grzebać w bibliografii i trafiłem na „Rozwój etnografii i etnologii w Polsce” — a więc mam czego szukać, teraz wszystko stanie się zrozumiałe. Czytam pierwsze zdanie wstępu: „Zwięzłe przedstawienie rozwoju nauk etnologicznych w Polsce...”, że „wielu etnografów XIX

wieku...” i że brak biografii „wielu etnologów”. Poczem na tejże jeszcze stronie (s. 5) w pierwszym rozdziale czytamy, że „Początki etnografii polskiej...”, i na s. 17, że z końcem XIX w. zaczyna wychodzić „czasopismo geograficzno-etnograficzne „Wisła”, które (s. 19) „zaznajamia naukę polską z prądami obcymi na polu etnologii” — itd, itd.

Żeby to tylko etnografia i etnologia, ale do tajemniczych terminów dochodzi jeszcze ludoznawstwo (Polskie Towarzystwo Ludoznawcze, Jana S. Bystronia „Wstęp do ludoznawstwa polskiego”) i folklor.

Przygnębiony ruszam w swych poszukiwaniach dalej i znajduję doskonałą i jak wszystko w dziełach tego uczynego jasną, definicję K. Moszyńskiego, określenia J. S. Bystronia, S. Poniatowskiego, K. Dobrowolskiego, B. Malinowskiego — tylko, że każda z nich o milimetr, a czasem i więcej, odbiega od poglądu na tę sprawę kolegi. Wielu pomniejszych, żeby wybrnąć z trudnej sytuacji, terminy te pojmują nieco intuicyjnie, przyjmując mglistą między nimi granicę. Czasem rolę gra snobizm — znacznie to poważniej i tak „głębiej” być etnologiem niż jakimś tam etnografem: a już zupełnie nie uchodzi mienić się ludoznawcą (zawsze ten sam wysłowiony dowcip: ludoznawca=ludożerca — ha, ha, ha!) — to było dobre dla XIX wieku — ale dziś...?

Co więc począć? Są dwie drogi do wyboru. Albo oddam się duszą i ciałem jednej szkole, jedynie słusznej i potępię odchylenia tamtych — wówczas będę miał wielu wrogów, ale i garstkę oddanych przyjaciół-współwynawców, broniących mnie do upadłego; albo postaram się wypośrodkować jakąś prawdę z poglądów wielu, stanę się eklektykiem. Skutek łatwy do przewidzenia! Za odstępce uznają mnie wszyscy etnografowie i etnologowie — po raz pierwszy zgodni w poglądach.

Pogodzenie polskich etnografów to chlubny cel, a więc przystąpmy do jego realizacji.

Jeśli pominiemy clikwo-sentymentalne, zaprawione sporą dozą fantazji XVIII-wieczne westchnienia pod adresem szlachetnych dzikusów, o zainteresowaniach na prawdę już naukowych ludami niecywilizowanymi świata możemy mówić dopiero w XIX wieku. Wówczas to ludzkość, po dokonaniu niespotykanych dotąd odkryć w dziedzinie nauk przyrodniczych, po ujarzmieniu pary i elektryczności, doznała lekkiego zawrotu głowy od nadmiaru sukcesów i ufa w swój geniusz zaczęła budować, także w dziedzinie nauk etnologicznych, gigantyczne teorie oparte, jak się potem okazało, na niedostatecznej ilości niedostatecznie znanych faktów. Tak to już bywa z wielkimi teoriami naukowymi, że im mniej przesłanek, tym wszystko łatwiej się zgadza i lepiej pasuje.

Niemniej XIX i początek XX wieku to okres wielkiego rozwoju w tej dziedzinie. Powstają wówczas do dziś jeszcze żywe dzieła, nauki etnologiczne zyskują prawo obywatelstwa wśród nauk humanistycznych, gromadzi się wielkie ilości materiału faktycznego zmagazynowanego po muzeach i zawartego w publikacjach. Rezultaty to tym cenniejsze, że wiele ludów wtenczas odwiedzanych przez podróżników dzisiaj już nie istnieje.

W tym twórczym okresie nauk etnologicznych powstaje w europejskich krajach kontynentalnych klasyczny podział na etnografię i etnologię, przy czym za przedmiot etnografii uważało się naogół opis kultury jakiegokolwiek ludu, podczas gdy przez etnologię rozumiano się naukę porównawczą zajmującą się jakimś zjawiskiem kulturowym w szerokim światowym zasięgu.

Równocześnie za przedmiot zainteresowania etnografii i etnologii uznano kultury niecywilizowanych ludów tzw. egzotycznych, pozaeuropejskich, oraz tradycyjną

kulturę wsi społeczeństw, które prócz niej posiadają, w dużej mierze międzynarodową, kulturę warstw tak zwanych oświeconych.

Zabrano się do poszukiwania i zaopatrzenia etykietkami w rodzaju: matriarchat, patriarchat, lewirat, poligamia etc. przeróżnych elementów kulturowych, uzyskując w chaosie faktów jakiś porządek. Odkryto, że poszczególne elementy łączą się w pewne współwystępujące zespoły, nazwano je więc kręgami kulturowymi i możnolnie wyznaczano granice tych kręgów. Zajęto się również śledzeniem ewolucyjnego rozwoju kultury ludzkiej zestawiając z listą benedyktyńską pracowitością ciągły rozwój poszczególnych przedmiotów, szerszych zjawisk kultury i całych kultur. Zapatrzeni w przykład nauk przyrodniczych ojcowie nauk etnologicznych usystematyzowali kulturę ludzką, jak się systematyzuje pajęczaki, mięczaki słodkowodne lub też parzystokopytne.

I byłoby już tak trwało na wieki, gdyby dano spokój dalszym badaniom terenowym. Ale nie, na swoje nieszczęście uczeni jeździli coraz dalej, przebywali wśród trybików coraz dłużej i obserwowali ich coraz wnikliwiej. Dało to skutki oplakane! Znalaziono więcej wyjątków (które podobno potwierdzają regułę) niż faktów, które możnaby bezpośrednio zamknąć w ramach dotychczas istniejących naukowych szablonów. Do tego wszystkiego wmieszała się socjologia — i o zgrozo, coraz więcej etnografów i etnologów zaczęło socjologizować. U znas rzucili się na nich zgodnie i socjologowie i tak zwani czysti etnografowie i napewno byłoby ich pognebili, gdyby nie to, że na całym zachodzie Europy, a zwłaszcza w Anglii i krajach anglosaskich, kierunek ten nie tylko się przyjął, ale wydał światowej sławy uczonych i o światowym znaczeniu dzieła. Teraz już najbardziej nawet nadąsani „czysti etnografowie” zaczynają świadomie czy nieświadomie przyjmować tu i ówdzie punkt



DEMON

CHOWANIEC

Mieszkańcy okolic Pruchnika znają jeszcze stary, magiczny sposób na wyhodowanie sobie „chowańca”. Przepis jest w zasadzie dość prosty, ale jego realizacja może natrafić na niemałe trudności. Należy mianowicie wziąć w okresie nośności pierwsze lub ostatnie jajo od czarnej kury.

Nosi ono często miano „koguciego jaja”. Lud przypisuje mu szkodliwe właściwości. Toteż nie używa go się nigdy; przeciwnie: przetrzuca przez dach na drugą stronę chałupy, „aby kury takich jaj więcej nie niosły”. Takie przeklęte jajo łatwo ponoć jest poznać już na pierwszy rzut oka. Jest małe, nie większe niż gołębica, pokryte cienką, miękką łupiną. Wewnątrz często zawiera tylko żółtko lub kiedy indziej samo białko. Owo magiczne jajo należy przez 9 dni nosić za pazuchą pod lewą pachą. W tym czasie należy się bezwzględnie wstrzymać od jakichkolwiek praktyk religijnych, a nawet nie wolno spoglądać na krzyże i wieże kościelne. Człowiek hodujący demona winien również przestrzegać w ciągu owych 9 dni specjalnej diety: jak najmniej używać przypraw a zupełnie unikać soli. Jeżeli wszystkie te warunki zostaną spełnione, po 9 dniach z jaja wykluje się „chowaniec”. Nigdy nie wiadomo w jakiej postaci się narodzi i trzeba być przygotowanym na wszystko. Złoty bowiem byłoby gdyby na widok wychodzącej z jaja strasznej i wstrętnej postaci demona człowiek okazał przerażenie. Wtedy „złego” można do siebie zrazić. Najczęściej „chowaniec” przychodzi na świat pod postacią czarnego koguta, choć czasem może urodzić się jako czarna kura, kot, a nawet pies.

DIABELSKI SŁUGA

Jeszcze dziś trafia się po wsiach Rzeszowszczyzny że pewnych gospodarzy, którym się doskonale wiedzie sąsiedzi pół żartem a pół serio posadzają iż ci „pewno mają chowańca w domu”. Bo też wyhodowany z takim mozołem demon potrafił być ogromnie pożyteczny. Oddajmy zresztą głos autentycznej opowieści jaką usłyszałem któregoś lata w powiecie przemyskim, w Rzeczpolu, o chłopie w Woli Krzywicznej, który „chowańca” trzymał. Kiedyś ów gospodarz ku-

pił na jarmarku w Pruchniku chuderlawego, małego psa. Człowiek, który go sprzedawał nie wziął zań wiele. „Bierzcie tego psa — mówił — Będziecie z niego mieli wielką pociechę. On wam będzie wszystkiego pilnował. Tylko pamiętajcie, jak będziecie mu jeść dawać byście mu nie dawali soli. Bardzo tego nie lubi, a uważajcie by wam czego wtedy na despekt nie zrobił.”

I odtąd poczęło się chłopu w gospodarstwie sporzyć. Krowy dawały tłuste mleko, kury nigdy nie zdychały, „konie miał spalone jak byki” a w polu i w sadzie — zawsze urodzaj. „Złe” mu wszystko znosiło i pilnowało. Kiedy pewnego razu do sadu zakradli się wiejscy chłopcy „złe” pozwoliło im wprawdzie wejść na jabłono, ale zleźć im już nie dało. Piszcząc krążyło wokół drzewa. Raz złodziejom zdawało się że widzą sowę, to znów że kure, za chwilę na miejscu kury biegł już mały piesek... Aż wreszcie przyszedł gospodarz. Sprął złodziejasków kijem i wypędził z sadu. Innym razem pod nieobecność właścicieli już już złodziej skrada się do drzew kiedy nagle spod nóg wyskakuje mu królik. Chłop schyla się, chce go złapać, a królik hyc w bok. Złodziej za nim. Królik tuż, a przecież wciąż nieuchwytny, stopniowo wyprowadza intruza z sadu aż wtem na drodze koło mostku gdzieś znika bez śladu. Tymczasem gospodarze powrócili do domu...

JADŁOSPIS POTWORKA

Wiadomo iż „chowańca” należy trzymać gdzieś blisko gospodarstwa, najlepiej na strychu lub w stodole i nigdy nikomu o nim nie mówić. Pilnie też strzec trzeba poczwary przed wzrokiem sąsiadów, gdyż spojrzenie obcego człowieka mogłoby jej zaszkodzić. Taki „chowaniec” może wtedy nie tylko przestać pracować dla swego właściciela, ale wręcz odwrotnie — zacznie mu szkodzić! Po-

twór jest dość wymagający. Żywi się śmietaną, miodem, kluskami. Nienawidzi natomiast soli. Pomny na to wszystko nasz gospodarz z Woli Krzywicznej przechowywał „chowańca” na strychu żywiąc go troskliwie. Ale razu pewnego wychodząc gdzieś wraz z żoną musiał zostawić na gospodarstwie nowoprzyjętą do służby dziewczynę, nie znającą tajemniczych upodobań mieszkańca strychu. Służąca ta, w myśl zalecenia gospodni wyniosła na strych miszkę zacierki z mlekiem. Cóż kiedy zacierkę posoliła. Monstrum nie posiadało się z wściekłości. Cisnąwszy miską w służkę zaczęło szaleć na strychu. Niszczyło sprzęty, wyrzuciło beczkę ze zbożem, wymieszało mąkę z prosem, miało się z kąta w kąt. Dopiero świeże mleko z kawałem miodowego plastra, złożone przez struchlałych gospodarzy udobruchało wybrednego diabła. Od tej pory tylko sami gospodarze ośmielali się wchodzić na strych z jedzeniem dla demona.

PRZEKŁĘTE SZCZĘŚCIE

Innym powodem złego humoru „chowańca” było nieprzestrzeganie przez mieszkańców chałupy zakazu modlitwy i żegnania się. Wówczas „złe” na górze tłukło się wściekle, ciskało gratami, a raz „to nawet kota z góry rzuciło”. Już też pewnie musieli za swe powodzenie dusze „złemu” obiecać, bo im się „w ludziach nie wiodło”. Chłopaka ich jednego zarżnięto na weselu, a drugi w lesie się zabił. A kiedy baba umarła — chłop się powiesił. „On” to z nimi porobił!

Nie ma już i chałupy, w której mieszkali przeklęci szczęśliwcy, bo ją rozebrano. Kiedy umarł ostatni z jej mieszkańców, nikt obcy nie odważył się już do niej wchodzić. „Złe” w niej tłukło się i straszło. A wieczorem ludzie bali się nawet koło tego miejsca przechodzić.

widzenia socjologii. Małe bo małe te ich ustępstwa, ale zawsze to wyłom w szeregach niezłomnych.

Dzięki wprowadzeniu do etnografii i etnologii ujęcia socjologicznego okazało się, że kultura ludzka jest żywym organizmem, gdzie wszystko łączy się z sobą, wzajemnie zalegają, z siebie nawzajem wynika i na siebie wpływa; że każde zjawisko nie jest ważne i ciekawe przez swój kształt, wymiar itp. lecz przez to jakie miejsce zajmuje w całokształcie kultury, jaka jest jego funkcja w ramach kultury jako całości. Z tą chwilą stracił rację bytu dawny

podział na etnografię i etnologię, tak jak straciło rację bytu poprzednie klasyfikowanie i szeregowanie faktów kulturowych.

Cały kłopot z tym, że u nas w Polsce nie mamy terminu nadrzednego w stosunku do etnografii i etnologii. Anglosasi, dzięki powszechnie znanemu konserwatyzmowi zachowali swoją „anthropology”, dzieląc ją tylko na fizyczną antropologię — naukę o ciele ludzkim i społeczną antropologię — naukę o ludzkiej kulturze. Dzięki temu w swej społecznej antropologii zmieścili teraz i etnologię i etnografię, nawet spory kawałek socjologii. Myślimy się z nich do niedawna śmiali, że jesteśmy nowocześni, że antropologia u nas co innego, a etnologia i etnografia też co innego — ale ten się śmieje najlepiej kto się śmieje ostatni. W zapale wyrzuciliśmy nawet ze swego słownictwa jako przestarzałe, trącące myszką, dobre dla amatorów-zbieraczy XIX w. ludoznawstwo. A szkoda, bo wydaje się być nie gorsze od anglosaskiej antropologii, może nawet lepsze.

Wiek XIX, żeby się zorientować w nadmiarze nowych faktów, dzielił je, porządkował, wyznaczał granice. Wiek XX śledząc działania mechanizmu świata i prawa nim rządzące szuka związków, zaciera granice, pragnie wzrokiem objąć pewne całości. Odbija się to nie tylko na tendencji do zniesienia odrębności obu dyscyplin, etnografii i etnologii, ale też na przedmiocie badań. Teraz już nietylko niecywilizowane ludy, nie tylko mieszkańcy trady-

cyjnych wsi interesują badacza. Może się on z równym powodzeniem zająć kulturą drobnomieszczańską małych i wielkich miast, pewnych grup zawodowych (np. górniczy, robotnicy fabryczni, flisacy, nawet złodzieje), kulturą społeczności dziecięcych i in.

Przedmiotem zainteresowań jest kultura w swej pierwotnej, mniej złożonej niż kultura współczesnego cywilizowanego świata formie i to nie tyle ona sama, co prawa rządzące jej rozwojem.

Celem ostatecznym ludoznawstwa¹ jest rekonstrukcja rozwoju kultury ludzkiej, ale dokonana „na zasadach poprawnej metody naukowej, nauka zaś uczy nas przede wszystkim tego, że rekonstruować możemy jedynie wówczas, gdy znamy regularność przebiegów, gdy znamy prawa wzrastania, rozwoju i korelacji. Dopóki nie odkrywamy tych praw i regularności, nasze rekonstrukcje będą wytworem wyobraźni a nie pracą naukową”².

Zazwyczaj metoda naukowa idzie w kierunku: obserwacja/opis — analiza — synteza. W ludoznawstwie, biorąc ogólnie, w XIX w. szła w następującej kolejności: nieścisły opis — pobieżna i tendencyjna analiza — wielka synteza. Najwyższy czas naprawić błędy, a więc wrócić do bardzo wnikliwej obserwacji opartej na silnych podstawach metodologicznych, oraz do wiernego opisu rezultatów tej obserwacji, a następnie, na drodze analizy, ustalania praw rządzących poszczególnymi, wziętymi przez nas pod obserwację zjawiskami kulturowymi. Jeśli ustalimy prawa i zbierzemy odpowiedni arsenal faktów, dość wtedy

będzie czasu na tworzenie wielkich, obejmujących świat cały i całą kulturę syntez.

Syntezy takie czas będzie tworzyć przy biurku wtedy, gdy już na całym świecie zapanuje jednolita kultura głoszona przez radio i telewizję, tak na Wyspach Andmańskich, jak na Grenlandii, na Ziemi Ognistej i wszędzie gdzie żyć będzie człowiek.

Teraz gdy jeszcze czas po temu korzystamy z tych niewielu lat jakie pozostały kulturom pierwotnym, kulturom ludowym i póki one jeszcze żyją starajmy się je poznać.

A jak się to robi — opowiem w przyszłości.

**A N D R Z E J
J A K U B O W S K I**

¹ Stwierdziłmy, że ani etnografia ani etnologia nie obejmują znaczeniem tego, co bada współczesny — powiedzmy — antropolog (w sensie anglosaskim) i że nie mamy poza ludoznawstwem ogólnego terminu obejmującego obie te gałęzie wiedzy. Ponieważ nie tu miejsce na kreowanie nowej nomenklatury naukowej, będziemy się narazie trzymać, tylko umownie, starego terminu ludoznawstwo — ludoznawca, uważając go za odpowiednik social anthropology i anthropology.

² Bronisław Malinowski, Życie seksualne dzikich, s. XXXIII.

ETNOGRAFIA



ziemia NIKT JESZCZE O TYM NIE PISAŁ



Światowit znaleziony w rzece Zbrucz.
Bóstwo z lewej strony posągu, bóg
wojny, być może Perun.



Światowit znaleziony w rzece Zbrucz.
Bóstwo części frontальной — Wielka
Bogini.



Światowit znaleziony w rzece Zbrucz.
Niezidentyfikowane bóstwo prawej
strony posągu.



Panorama Gór Świętokrzyskich. Fot.
Janusz Bogdanowski.

Niezidentyfikowane bóstwo tylnej
strony głowy posągu. Fot. K. Bielenin

DLACZEGO

odkryte w Łysogórach
starożytne piece hutnicze
budowano w potrójnych
i poczwórnych szeregach

DLACZEGO

posągi bóstw słowiańskich
miały tak jak Światowit
trzy lub cztery twarze

KAZIMIERZ BIELENIN

archeolog krakowski
odkrywca huty żelaza
sprzed 1700 lat

PISZE

na następnej stronie
o magicznych cyfrach
dawnych Słowian



TRZY I CZTERY

Badania archeologiczne nad starożytnym hutnictwem żelaza pomiędzy północnymi zboczami Łysogór a rzeką Kamienną dostarczają wciąż nowych, nieznanych dotąd w nauce materiałów. Na przekopanych do chwili obecnej częściowo lub w całości 14 stanowiskach hutniczych odkryto 1214 ziemne piece hutnicze. Występujące w warstwie kulturowej szczątki ceramiki pozwalają datować największe nasilenie tego przemysłu na środkowy i późny okres wpływów rzymskich (II–IV, V wiek n. e.). Dalsze badania ustalą dokładnie granice chronologii zarówno „w dół” jak i „w górę”.

Poza wieloma niewyjaśnionymi jeszcze kwestiami natury technicznej i technologicznej starożytnego hutnictwa świętokrzyskiego — jedną z pasjonujących archeologów zagadek jest układ pieców w poszczególnych ich zespołach.

Odkryte do tej pory stanowiska można podzielić pod tym względem na kilka typów.

Typ pierwszy to piecowiska w których układ pieców nie wykazuje jakiegokolwiek wyraźnego planu kolejnej budowy. Pewną odmianą tego typu są piecowiska o zabudowie w dalszym ciągu przypadkowej — lecz w całości tworzącej jeden podłużny ciąg.

Do drugiej grupy należą piecowiska, gdzie w układzie decyduje jakaś myśl przewodnia, reguła która obowiązuje wytwórcę. Są to piecowiska składające się z jednego lub dwóch regularnych ciągów trójek lub czwórek pieców biegnących równolegle do siebie.

W grupie tych piecowisk zbudowanych wg. jakiegoś systemu obserwujemy zastanawiający moment. Często po kilku regularnych czwórkach następuje trójka lub dwójka pieców. Zdarza się, że ciąg piecowiska rozpoczyna jeden, dwa, lub trzy piece.

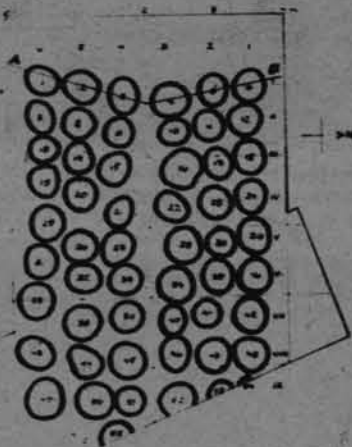
Dalsze badania niewątpliwie wyjaśnią czy przypadkowa, chaotyczna zabudowa piecowisk przechodząca w jasny i przejrzysty system ma może jakiś związek z chronologią tego przemysłu.

Odnosnie zagadki trójkowego i czwórkowego układu wysuwano już wiele przypuszczeń, głównie pod kątem użyteczności, związanej z techniką i technologią samego procesu wytopu. Przypuszczenie jakoby cała trójka względnie czwórka pieców pracowała równocześnie co mogłoby m. in. powodować mniejsze straty ciepła — wydaje się wątpliwe. Stwierdzono bowiem iż wiele kotłonek wkopanych jest w siebie tak w szeregach poprzecznych jak i w rzędach podłużnych. Poza tym znaczne nieraz odległości pomiędzy poszczególnymi piecami nie wskazywałyby na chęć kumulowania ciepła przy pracy kilku pieców.

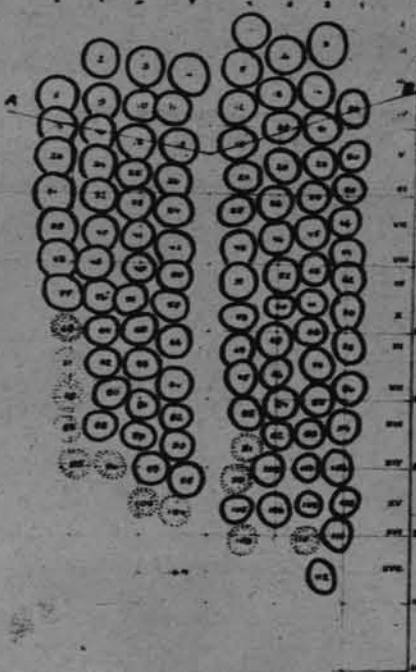
Obok niektórych piecowisk odkryto ślady wkopanych słupów co wskazywałoby na istnienie nad piecowiskiem jakiegoś dachu osłaniającego miejsce pracy przed deszczem. W związku z tym, przypuszczano, że może granica dachu określałaby szerokość trzywzględnie czterokotłinkowego ciągu. Tłumaczenie to wydaje się również nie zupełnie zadowalające. Mimo sztywnej granicy wyznaczonej dachem — piece mogłyby posiadać również chaotyczną zabudowę. Częste zaś wypadki następowania po czwórkach trzech względnie dwóch pieców wskazywałyby że darowano sobie już w tym szeregu wykorzystanie wolnego miejsca.

W przeciwnieństwie do utylitarystycznych prób tłumaczenia systemu budowy trójek czy czwórek świętokrzyskich dymarek, spójrzmy na zagadkowe układy pieców pod innym kątem. Wymaga to jednak zwrócenia uwagi na psychikę i całą stronę du-

chową ówczesnego człowieka. Powinniśmy sobie zdać sprawę z psychiki pierwotnego hutnika. Nie miał on naukowego wytłumaczenia otaczających go zjawisk przyrodniczych, reakcji chemicznych zachodzących w czasie procesu metalurgicznego. A mimo to posiadał praktycznie tajemnicę przetwarzania wybranej kopalin na cenny surowiec — przy użyciu ognia który w starożytności był również symbolem czci i tajemnicy.



Powyżej: 2 ciągi trójek starożytnych pieców do wytopu żelaza, odkopane w Starej Słupi. Poniżej: 2 ciągi czwórek, również odkryte w Starej Słupi. U dołu: bryła żużla ze starożytnych pieców świętokrzyskich.



Człowiek ten w swej pracy nie mógł się kierować jedynie rozumem a wyjaśnienia niezrozumiałych, zachodzących wokół niego i jego pracy zjawisk natury przyrodniczej, fizycznej i chemicznej szukał w działaniu dobrych lub złych sił nadprzyrodzonych. Jego psychika była stale nastawiona na działanie tych sił, co z kolei uewnętrzniało się w całym szeregu skomplikowanych wierzeń, przesądów, zabiegów magicznych czy zaklęć.

Nie wiadomo więc czy ów system czwórek i trójek nie miałby również jakiegokolwiek wytłumaczenia w ówczesnym skomplikowanym systemie wierzeń?

Zastanawiającym zjawiskiem w okresie wczesnego średniowiecza w wieku IX–XII, potwierdzonym wieloma źródłami pisanymi i odkrytymi archeologicznie są bóstwa słowiańskie o wielu twarzach i wielu postaciach znane na terenie Słowiańszczyzny wschodniej i zachodniej.

Thietmar, biskup merseburski podaje w swojej kronice z XI wieku ważne wiadomości na ten temat z czasów Mieszka I.² Opisując plemiona słowiańskie zamieszkałe między dolną Odrą a Łabą mówi o kraju Redarów w którym jest „... gród o trójkątnym kształcie i trzech bramach doń wiodących” zwany Redogoszcz. W grodzie wznosiła się świątynia Swarozycy w której znajdowały się również posągi innych mniejszych bogów.

Inny z autorów niemieckich z XII wieku, Herbold w opisie misji biskupa Ottona z Bambergu podaje również szereg danych o wierzeniach Słowian pomorskich. Pisząc o Szczecinie, mówi, że były tam „cztery kątyny ale jedna będąca pomie: główną...”. „A był tam posąg trzygłowy, który na jednym kadłubie trzy głowy mając nazywał się Trzygłowem...”. „Trzy zaś inne kątyny mniej zażywały czci i mniej były przyzodobione...”. W tej samej księdze jest mowa o czarnym koniu przy świątyni, który „...miał jednego z czterech kapłanów za dozorcę.”

Ebbo, hagiograf św. Ottona pisząc o nawrocie pogaństwa w Szczecinie po misji św. Ottona mówi „...Szczecin miało duże w okręgu swym zamknięte trzy wzgórza z których środkowe wzgórze poświęcone największemu bogu pogańskiemu Trzygłowowi, posiadało trójgłową podobiznę...”. przy czym kapłani zapewniali, że dlatego bóg najwyższy trzy posiada głowy bo trzema włada królestwami to jest niebem, ziemią i piekłem.

Helmold, proboszcz z Bozowa w napisanej w XII wieku kronice Słowian mówi o czci różnych „...bałwanów, gajów i bogów domowych...” między różnokształtnymi zaś bogami słowiańskimi szczególnie jaśnieje „Światowit bóg ziemi Rugian...”. W tej samej księdze w rozdziale następnym pisze „...Słowianie w różny sposób cześć bogom swoim oddają... i takich bogów jest mnóstwo wizerunków. Wielu rzeźbią z drewna, trzema lub więcej głowami. Pomiedzy wszakże różnokształtnymi bóstwami, którym poświęcają pola, lasy, smutki i radości wyznają także, że jest jeden Bóg, który w niebie innymi bogami rządzi...”

Bardzo ważnym autorem przekazującym dane o wierzeniach Słowian na wyspie Rugii jest Sakso Gramatyk, kronikarz duński w XII wieku. Towarzyszył on wojskom duńskim w podboju Słowiańszczyzny połabskiej i wyspy Rugii. Opisuje między innymi świątynię i posąg Światowita

w Arkonie „...w świątyni stał posąg ogromny, wielkością przewyższający postać ciała ludzkiego, czterema głowami i tyłuz sztykami wzbudzący zdziwienie...”

Na symbol liczby „3” i „4” w wierzeniach Słowian wschodnich zwraca uwagę tak kapitalny zabytek jakim jest posąg Światowita z rzeki Zbrucz. Według B. A. Rybakowa³ w posągu tym zawarta jest kosmogonia wczesnośredniowiecznych Słowian. Jest on podzielony horyzontalnie na trzy kondygnacje. W dolnej jest bóg piekła, królestwa podziemnego. W środkowej ziemia z mieszkańcami trzymającymi się za ręce. Górna kondygnacja jest symbolem nieba — miejscem przebywania bogów. Z czterech bóstw posągu nakrytych wspólną czapką B. A. Rybakow identyfikuje frontową postać jako wielką boginię z turzym rogami, po jej lewej stronie męskie bóstwo wojenne, może Perun z koniem i mieczem. Pozostałe dwa bóstwa są trudne do zidentyfikowania.

Ze do cyfry 3 i 4 Słowianie przywiązywali jakąś wagę można wywnioskować z tego, iż stosowali ją również przy różnego rodzaju wróżbach. Na przykład Sakso Gramatyk pisze „...wróżenie zaś z konia odbywało się w ten sposób, gdy zamierzali oni przedsięwziąć wojnę przeciw innej krainie rozkładali słudzy przed świątynią potrójny rząd włóczni skrzyżowanych z sobą po dwie w każdym rzędzie...”. rzędy te były w równej od siebie odległości. „...nie prędzej też przepowiadano pewność zegluga aż stwierdzono trzy po sobie następujące znaki pomyślnego przebiegu...”. „był też dobrze znany zwyczaj losowania, mianowicie trzy kawałki drewna, białe po jednej stronie po drugiej stronie rzucali na podolek zamiast losów...”

Herbold również pisze o sposobie wróżenia „...Rozkładali na ziemi 9 włóczni... kapłan konia ująwszy za uźdę po trzykroć go przez leżące włócznie tam i z powrotem przeprowadzał”.

Te przytoczone przykłady wykazują jasno, że symbol cyfry „3” względnie „4” był u Słowian wczesnośredniowiecznych w powszechnym użyciu. Czy symbol trójki i czwórki stosowany powszechnie o kilka wieków wcześniej w kolejnej zabudowie piecowisk świętokrzyskich ma tu jakiś związek — wykaże może dalsze badania. Dużą pod tym względem nadzieję pokładamy w eksploracji starożytnych stanowisk hutniczych na zboczach Łysej Góry wokół której nagromadziło się już sporo legend o istnieniu tu kultu pogańskich Słowian.

KAZIMIERZ BIELENIN

¹ Zob. artykuł tegoż autora Starożytna huta żelaza. „ZIEMIA” nr. 2/56.

² Wszystkie załączone cytaty zob. Gerard Labuda, Słowiańszczyzna Pierwotna — Materiały źródłowe do historii Polski epoki feudalnej P.W.N. Warszawa 1954 Rozdział VIII Religia pogańskich Słowian str. 221–237.

³ B. A. Rybakow, Drewnostki Czernigowa, Materiały i Issledowania po archeologii SSSR t. XI Moskwa Leningrad 1949 str. 45.



ZBÓJCY

Poniższy tekst stanowi w rękopiśmiennym oryginalnym jedno właściwie zdanie, trudne do odczytania z powodu znikomej ilości znaków przestankowych. Aby uczynić tekst bardziej przejrzystym, podzieliliśmy go ukośnymi kreskami. W nawiasach wyjaśnienia i uwagi JB, który przygotował rękopis do druku. Dokument drukujemy w skrócie.

Wiele zachowało się podań o zbójach grasujących dawniej po polskich drogach. Zwłaszcza okresy po długotrwałych wojnach obfitowały w napady „ludzi swawolnych” na podróżnych i kupców. Jeden z takich ciekawych wypadków opowiada już nie legenda czy opowieść ale dokument z 1666 roku, a więc z czasu po „potopie szwedzkim”, takimi żalosnymi słowy:

„Do Urzędu y Ksiąg Grodzkich Starościch krakowskich oblicnie (osobiście) przyszedłszy, Sławetny Wincenty Stelmachowic y Jakub Skalski / Mieszcianie y kupcy krakowscy / także pracowity Sebastian Jałocha Furman y poddany ze wsi Promnika (chodzi tu o Prądnik Biały) Wielmożnego y Przewielebnego Je Mści (skrót Jego Mości) Xiędza Biskupa krakowskiego dziedziczny / przed tymże Urzędem y Xięgami Starościami Grodzkimi krakowskimi naprzeciw osobom pewnym (wnoszą skargę) / których w kupie (było) koni osm (osiem) iedni poniemiecku w koletach / drudzy po polsku przybrani / których przeswisk y imion niemoże się wiedzieć...”

(Ciż ludzie swawolni) „...przyswawszy sobie y przygotowawszy różnego oręża / iako to obuchów, szabel, szpad y strzelbę kulami y prochem nabiwszy (i) / po różnych Miastach y wsiach pomienionych protestantów (tutaj „protestant” oznacza dosłownie człowieka protestującego) wyspiegowawszy y różnie się po drogach publicznych zasadzając, Śmieli y ważyli się / w niedzielę (i) blisko przeszłą przed południem / Mieysce sobie do rozboju sposobne upatrzywszy / to iest, gdy iusz protestantowie iako kupcy z Rzeszowa z Jarmarku Rzeszowskiego do Domów swoich, do Krakowa (powracali) / pokoiem pospolitym assecurowani y żadnego się od nikogo niebiespieczeństwa ni obawiając / z Towarem, pieniędzmi y in-szemi rzeczami powracając przez las Jarszowski pod wsią Grabiami (10 km na wschód od Krakowa, koło Niepołomic) leżący iechali / onych (ludzi swawolnych) na dobrowolnej Dro-

dze publicznej będących (napotkali). (Ci zaś) armatnie (zbrojnie) z dobytymi szablami y rapierami / z gotową y nabitą strzelbą / konno / uczyniwszy Wielki trzask y hukanie po lesie porzeczonem / Sposobem rozboyniczym umyślnie się na to przygotowawszy y do koła ich (kupców) obskoczywszy, żadnego nie mając nad bliźnimi miłosierdzia (i) (zaczęli ich) bić i opprimować (napadać) na Substancją ich y zdrowie następować.

Jakosz byli opprimowali iednego z pomienionych Protestantów / to iest Sławetnego Wincentego Stelmachowica / iusz w latach podeszłego człowieka / okrutnie w plecy obuszkami bijąc / srogo zranili y zekrwawili y wszystkich protestantów od woza, koni y towarów swoich ... (słowo nieczytelne) ... poruszywszy / do pomienionego lasu Jarszowskiego między chroścień (uciekających), aby tam iakimkolwiek sposobem zdrowie swoje wcale zachować / pieszo uciekających y uciążących się / na koniach goniąc y z gotowem do nich pistoletami zmierzając / gdy by im była strzelba spuściła (wystreliła) zabić y tyrańsko zamordować umyślili / czego wszystkiego snadnie by iako ludzie / na krew i substantią ludzką krwawo nabytą wyuzdani (i) / dokazali, gdy by im pewne osoby swego czasu mianowane (niestety niewiadomo co to były za tajemnicze osoby) na te zbrodnie y uczynek / zbliżające się, od przedsięwziętego złośliwego uczynku / wstrętu nie uczynili. Nad to tym się popełnionym niekontentuiąc występkiem, y owszem większą złość do występku pierwszego przydając / pomienionym protestantom, a zwłaszcza Panu Stelmachowicowi rzeczy niżej mianowane (zabrali).”

Tu następuje spis zrabowanych przedmiotów.

„Przez co pokoi pospolity zgwałcili / przeciw prawu Boskiemu y pospolitemu wykroczyli y (we) winy za umyślnych zboyców gwałtownych naieżdników y wydzierców w prawie opisane popadli. O które to gwałtowne naiechanie y sposobem rozboyniczym rzeczy wyżej mianowanych wydarcie / cisz porzeczeni protestantowie przed tymże urzędem y Actami Grodzkimi / solenniter protestują się / ofiarując się z pomienionymi ludźmi swego czasu y mieysca Specyfikowanemi (rozpoznanymi) / prawnie o tym czynie / wcale sobie zachowując tey protestathey wczymby-sie im podobało poprawy.”

Na tym kończy się opis wypadku.

Niestety nie wiadomo zarówno tego, kto był tajemniczym wybawcą kupców z „opresji”, jak i tego czy zbójcy zostali schwytani, a kupcy odzyskali mienie.

JB

* Relationes Castris Cracoviensis
93 A str. 1283—1288 Wojewódzkie
Archiwum Państwowe w Krakowie.



NIE MA JUŻ BĘDKOWICKIEGO MŁYNA!

Wśród powszechnej obojętności i osamotnionej krzątaniny konserwatorów oraz nielicznych miłośników zabytków — z dnia na dzień ulegają zniszczeniu niejedne już wiejskie zabytkowe budowle przemysłowe. I tak, niedawno zburzono drewniany młyn wodny w Dolinie Będkowskiej pod Krakowem. Obiekt był dobrze znany turystom z Krakowa. Znajdował się pośrodku doliny, założony na strumieniu płynącym przez skalną brzękę od strony wsi Będkowie i wpadającym do potoku Będkowskiego niedaleko znanej skały Sokolicy.

Budynek drewniany, prócz pomieszczeń młyna zawierał część mieszkalną i gospodarczą, składał się z dwóch skrzydeł przyległych pod kątem prostym. Mimo, iż część mieszkalną gruntownie przebudowano przed trzydziestokilku laty, a dachy pokryto płytami ciemnotowymi — całość w otoczeniu wspaniałej, skalistej scenerii doliny przedstawiała się wyjątkowo malowniczo.

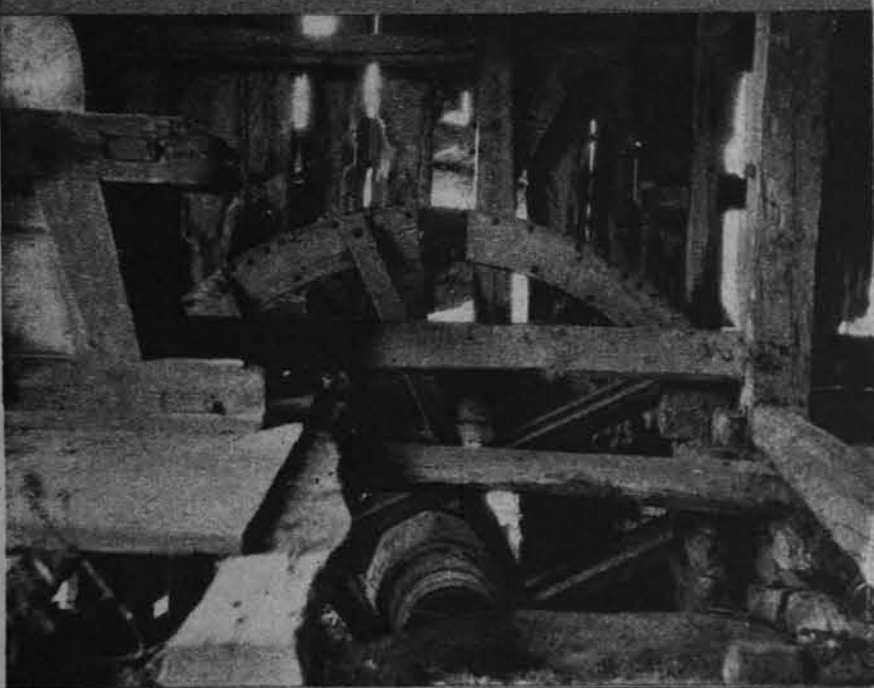
Urządzenie młyna również stanowiło wartościowy zbiór okazów dawnej techniki; uwagę zwracało przede

wszystkim koło wodne nasiębiernie o średnicy przeszło trzech metrów, należące do największych w okolicach Krakowa. We wnętrzu do ostatnich czasów zachowany był prymitywny mechanizm z dużych rozmiarów kołem „palczastym” o drewnianych trybach.

Młyn był opuszczony i nieużytkowany od czasów okupacji. Jego likwidacja miała być może swój początek w tragicznej śmierci właściciela, porwanego przez tryby mechanizmu i anegdocie o rzekomych strachach w budynku, czy jakimś przekleństwie ciążyącym na owym „straszym młynie”. Faktem jest, iż budynek o pomieszczeniach mieszkalnych, znajdujących się w stosunkowo dobrym stanie, kilkanaście lat stał pusty (w przedłużonej okolicy!) i nikt nie przyłożył ręki do jego jakiegokolwiek wykorzystania.

Strata będkowski młyna jest dotkliwa nie tylko z wagi na ubytek jeszcze jednego zabytku techniki, lecz także ze względu na utracę szczególnie wartości krajoznawcze, jakie posiadał tego rodzaju obiekt w atrakcyjnym rejonie wycieczkowym Krakowa. (MK)

Fot. M. Kornecki



WŁOSKIE OGRODY

Stary ogród czy park, to nie tylko rodzaje drzew krzewów i kwiatów, ale specjalna, trudno uchwytna opisem, pomiarem czy nawet fotografią — architektura. Trzeba głęboko ją przeżyć by móc napisać tak trafnie jak Zegadłowicz: „Rozrósł się ogród światłem i cieniem, wywieżył, wykopulił, wypełnił i wyprzestrzenił, salami, kolumnami, korytarzami i wnękami.”¹

Bo też architektura ta odznacza się specjalną właściwością — jest nieustannie zmienna i żywa. Inne jest wnętrze ogrodu w słońcu i cieniu, wietrze i ciszy, na wiosnę i w jesieni, inne wreszcie z każdym upływającym rokiem. Drzewa rozrastają się, zmieniają kształty, grubości pni, pokroje, a wszystko to trwa dziesiątki, a nawet setki lat. Tak długo, że twórca ogrodu rzadko kiedy ogląda swe dzieło w pełni rozkwitu i nie umie nawet przewidzieć, jakie formy przybierze ono w przyszłości.

Większość starych ogrodów i parków, to założenia przy dworach, pałacach i zamkach, że zaś nieliczne z tych budowli znajdują się dziś w dobrym stanie i właściwym użytkowaniu, więc tym bardziej założenia zielone jako „nieproduktywne”, tylko w wyjątkowych wypadkach posiadają należytą opiekę. Co więcej, nie wiadomo nawet jakie wartości botaniczne, architektoniczne czy historyczne posiadają jeszcze podworskie ogrody, gdyż dotychczas niewiele się nimi zajmowano.² Niestety, jak się okazuje, obecnie w szeregu wypadków problemem zaczyna być już nie tylko zaniedbanie parków i ogrodów, ale w ogóle — ich istnienie. Nierzadko bowiem zdarza się wycinanie poszczególnych drzew, czy też masowe walenie się starych okazów z braku opieki (np. dęby w Nagłowicach), dalej niszczenie drzewostanu przez niewłaściwego użytkownika, a nawet są wypadki wycinania całych parków (np. Kurdwanów w Krakowie). Czas więc zwrócić baczniejszą uwagę na tę sprawę urastającą już do rozmiarów problemu, różnorodnych ogrodów i parków jest bowiem u nas jeszcze sporo.

Najogólniej podzielić je można na dwa główne rodzaje: geometryczne — zwykle starsze, XVI do XVIII w. oraz swobodne — młodsze, XVIII do XX w.

O pewnym typie tych pierwszych, o tak zwanych „ogrodach włoskich”, będzie w dalszym ciągu mowa.

Czas by „ogrody włoskie” stały się pełnoprawnymi zabytkami naszej rodzimej kultury, dostępnymi nie tylko dla znawców, którzy potrafią odcyfrować ich układ, ale dla wszystkich. To jednak przy obecnym ich stanie, bez uprzedniego uporządkowania i konserwacji, jest niestety niemożliwe.

Renesans przynosi nowe spojrzenie na świat, a z nim świadome poczucie piękna przyrody i krajobrazu, do którego podchodzi się w sielankowy sposób, znany choćby z poezji Jana Kochanowskiego, który w wierszu „O Hannie”, pisze:

Tu góra drzewy natkciona
A pod nią łąka zielona;
Tu źródło przeźroczystej wody
Podróżnemu dla ochłody;
Tu zachodny wiatr powiewa,
Tu słowik przyjemnie śpiewa — ...

Ten stosunek znajduje bodaj najsilniejsze odbicie w wiejskim dworze, willi, czy rezydencji, gdzie jako warunek stawia się już nie tylko użyteczność i wygodę, ale na równi z tym piękno położenia.

Stąd rady współczesnych, by budując: „W położeniu uważać wprzód na miejsce, która ma być zdrowe, przy suchym powietrzu, wygodne przy żyznym kraju, przy wodzie żywej... Najwcześniejsza tedy albo równina, albo niewielki pagórek z prospektem wesołym...” no i naturalnie „...uważać abyś mógł mieć... ogrody i sady pod okny...”

Ujmuje to razem Andrzej Zbylitowski w *Żywocie Szlachcica*, tworząc klasyczny obraz wiejskiej rezydencji: „Mam chłódnik przeplatany kłosem gałęziastym. Mam dom z jodły ciosanej; jest nad przeźroczytym źródłem las jaworowy, są wysokie dęby z których twierdze składają i obronne zręby... I rzeka też pod górą, przy której dwór leży”.

Jak widać jednym z ważnych elementów tej sielanki, był ogród, w tym czasie wzorowany na „sztuce włoskiej” stąd pospolicie zwany ogrodem włoskim. O jego niezwykłym rozwoju i popularności w Polsce świadczyć może fakt, że nawet w XVIII, co więcej, jeszcze w XIX wieku, mimo zmiany upodobań, dla wielu pozostał ideałem i symbolem złotych czasów.

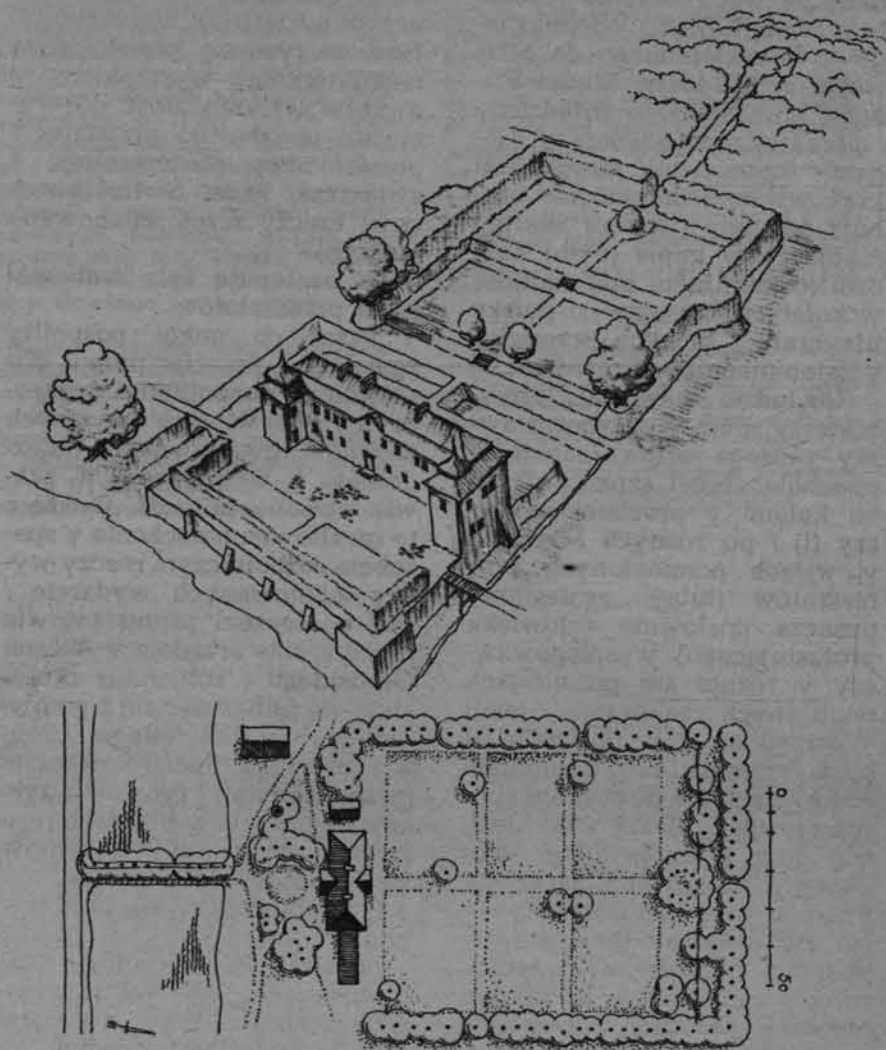
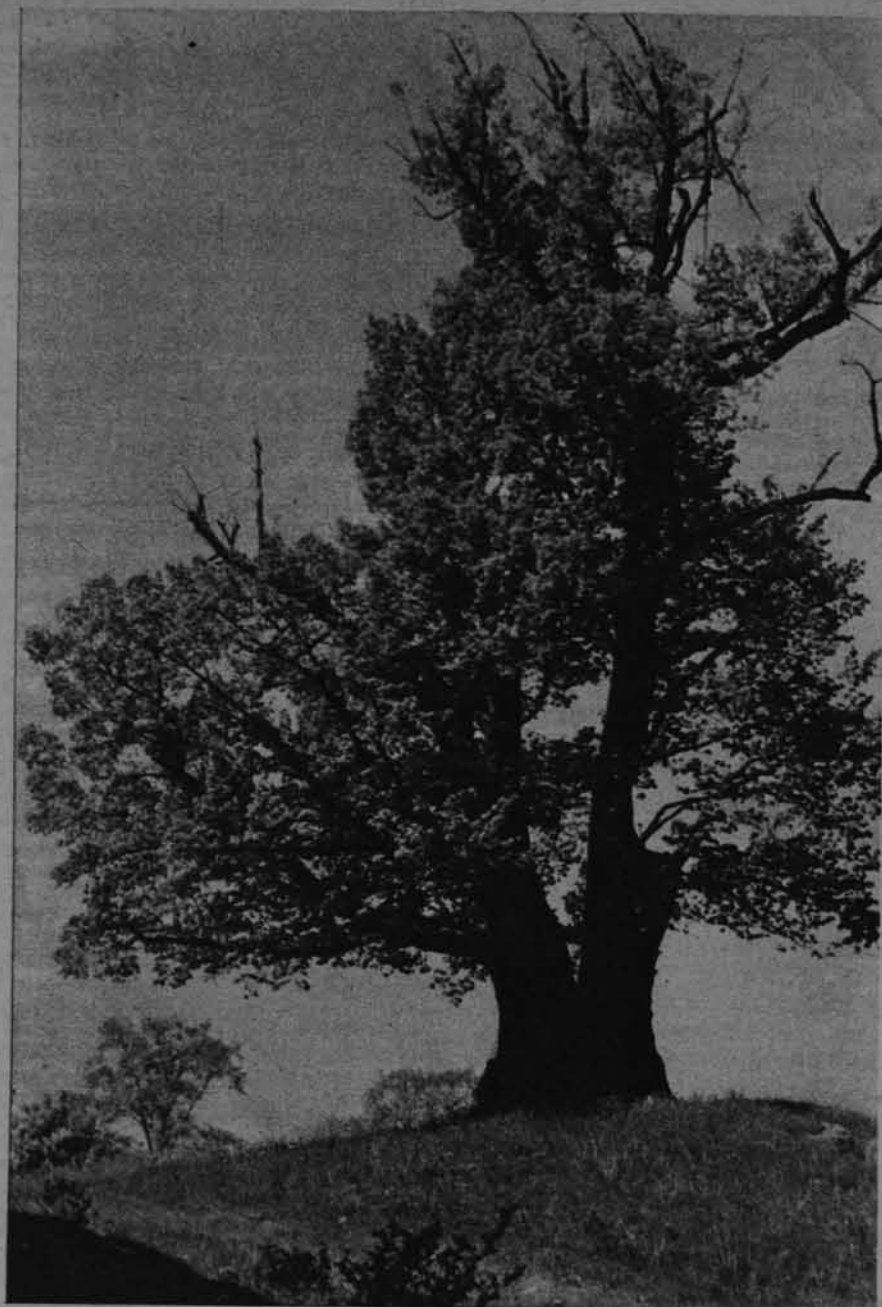
Kolebką jego u nas była ziemia krakowska, gdzie powstały pierwsze znane tego rodzaju ogrody w Polsce, a więc: Balice, Wola Justowska, Mogilany³. Z czasem dopiero ogród włoski rozprzestrzenił się na całą Polskę, uzyskując szereg odmian i swoisty charakter. Naturalnie nazwy jego nie można brać zbyt dosłownie. Pomijając bowiem magnackie rezydencje, w przeciętnym założeniu dworskim ogród taki, prócz nazwy i geometrycznego rozplanowania, dzielącego obszar na tak zwane kwatery obsadzone drzewami lub krzewami, niewiele miał cech włoskich. Z czasem zaś stał się tworem jak najbardziej rodzimym, w którym zawarły się zarówno: średniowieczne tendencje do użytkowości, jak renesansowe poczucie piękna, wschodnia ekskluzywność, no i oczywiście polskie upodobania. Tak powstał specyficzny polski ogród zwany „ogrodem włoskim”.

¹ E. Zegadłowicz. *Godzina przed Jutrznia*. Poznań 1927, s. 26.

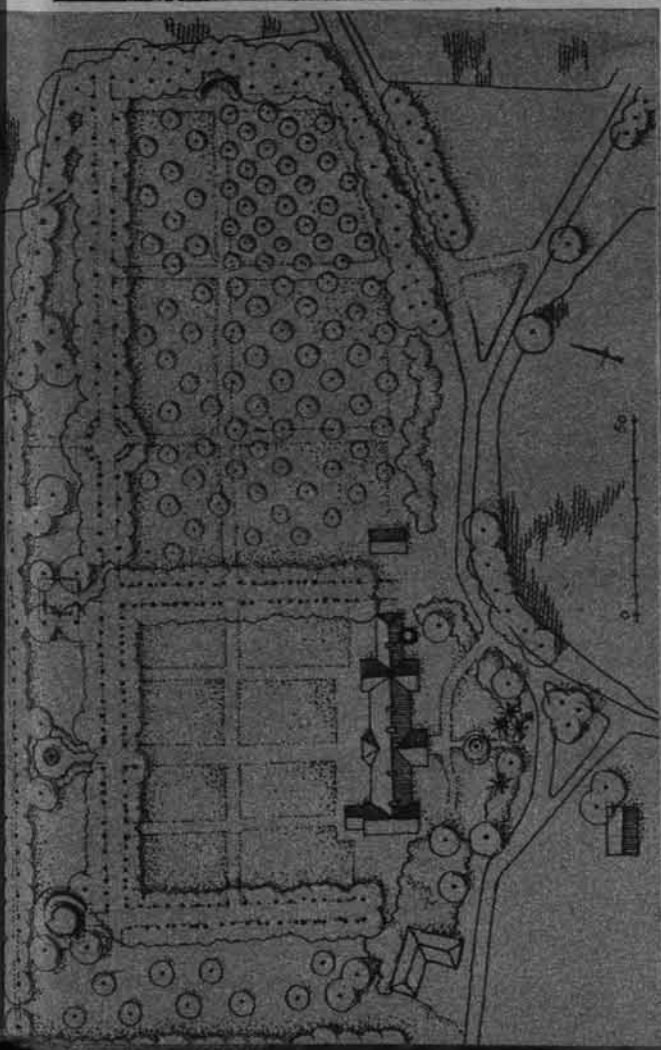
² Dotychczas istnieją tylko następujące prace ujmujące całokształt historii naszych ogrodów. Są to: artykuł J. Drege *Ogrody w Polsce*, w *Wielkiej Ilustrowanej Encyklopedii Powszechnej*. Warszawa 1912, oraz książki: G. Ciołka: *Ogrody Polskie*. Warszawa 1954 (wydanie albumowe) i *Historia kompozycji ogrodowej w Polsce*. Warszawa 1954.

³ *Krótką nauka budownictwa*. Kraków 1659. (Wydanie w opracowaniu A. Miłobędzkiego. Wrocław 1957, s. 5—6).

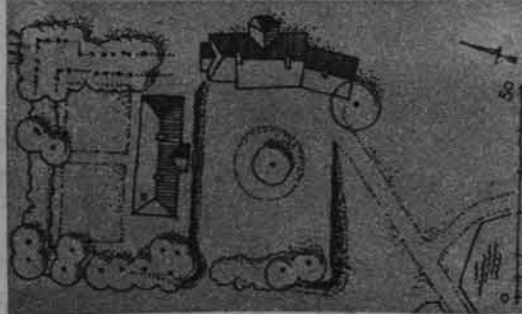
⁴ Porównaj: G. Ciołek. *Polskie ogrody renesansowe XVI w.* (Biuletyn Historii Sztuki. Warszawa 1953, rok XV, Nr 3/4).



U góry: stara lipa w Aleksandrowicach. Poniżej: widok aksonometryczny tarasowego ogrodu włoskiego w Głębowicach (pow. wadowicki), który wraz z obornym dworem, otoczonym fosą, tworzy harmonijną całość. Ogród został założony prawdopodobnie w okresie renesansu lub wczesnego baroku. Rysunek wykonany przez autora artykułu jest częściową rekonstrukcją. U dołu: plan ogrodu włoskiego z podkrakowskiej Sidziny, liczącego prawdopodobnie około 100 lat.



TEKST I ZDJĘCIA: J. BOGDANOWSKI



U góry po lewej: część ogrodu zrekonstruowany plan ogrodu w Paszkówce. Po wyżej: wnętrze swobodnie rozplanowanego ogrodu w Siedziejowicach. Po prawej: Paszkówka, stary szpaler grabowy. W głębi — kopicie. Po lewej: Głębówice — wnętrze kwatery otoczonej strzyżonymi grabami. Obok: Łuczanowice — plan ogrodu przed zburzeniem starego dworu. U dołu: Siedzina — wnętrze ogrodu.



O jego wyglądzie mówią zachowane założenia i stare lustracje. Tak na przykład brzmi opis z 1743 roku, ogrodu w Cuszowie⁶: „Ogród włoski. W tym ogrodzie ulice powysadzone grabiną, to jest szpalery, kwatery wszystkie puste, dwie zasadzone grochem tureckim i pietruszką. Drzewo w tym ogrodzie jako to Gruski, Jabłko, Sliwki, Wiśnie z częścią powymarzały, częścią nierodzące, zaś orzechy wszystkie powymarzały”. Opis choć krótki daje dobre pojęcie o przeciętnym ogrodzie włoskim — w Polsce. Trzeba jednak pamiętać, że ogrody te w swym układzie były bardzo różne, w dalszym więc ciągu będzie mowa tylko o jednym ich rodzaju, za to, jak się wydaje najczęściej spotykanym⁶.

Rodzaj ten można określić mianem jednonętrowego, gdyż zasada kształtowania polegała na tym, że zespół kwater z trzech stron otaczały szpalery (rodzaj strzyżonych alei); z czwartej zamykał budynek mieszkalny. Jednak i w tym rodzaju można dostrzec szereg odmian, o czym przekonują podane przykłady.

PASZKÓWKA

Najprostszym z nich, a zarazem najlepiej zachowanym, jest ogród w Paszkówce (pow. Wadowice). Leży ona na łagodnym stoku u stóp beskidzkiego pasma Draboz. Północno-zachodnim narożem wznosi się niemal na szczyt wzgórza, zaś południowo-wschodnim schodzi ku szerokiej dolinie. Płynący nią potok rozlewa się szeregiem malowniczych stawów, poprzedzielanych groblami, wzdluz których rosną wiekowe lipy i dęby.

Sam ogród składa się dziś z jednej dużej kwatery (65 × 80 m, wyrównanej obecnie pod boisko sportowe), której ściany z trzech stron stanowią szpalery, z czwartej przebudowany, neogotycki dwór. Poza szpalerem od zachodu mieści się niewielki lecz piękny, stary sad, od wschodu zaś większy, młody. Całość ujmują od zewnątrz fosa oraz niski wał obsadzony sędziwymi lipami i dębami (dwa z nich mają niemal 5 i 6 metrów obwodu w pierśnicy). Doskonale zachowane szpalery ze starych, dawno już nie strzyżonych grabów (1,5–2 m w pierśnicy), tworzą zrosłymi koronami, zielony, cienisty tunel dookoła kwatery. Perspektywę każdego z nich zamyka inny element. Tak więc w końcu wschodniego znajduje się usypany na dawnej lodowni kopiec. Widok z niego musiał być niegdyś wspaniały, a i dziś, choć przesłaniają go ogromne pnie dębów dostrzec można rozległe pola, zamknięte panoramą lesistego Drabozu.

Szpaler północny otwiera się jednym końcem w stary sad, drugim zaś łączy z młodszą lipową aleją, wzdluz nowego sadu, opatrzoną altaną, zakończoną zaś widokiem na spuszczone dziś staw i na drugim jego brzegu stojącą na tle wzgórz, kolumną św. Jana Nepomucena. W połowie długości szpaler jest przerwany dając dostęp ku altanie, gdzie w otoczeniu starych dębów i młodej grabiny stoi kamienny stół. Wschodni wreszcie szpaler zachował na końcu resztki prostokątnej altany grabowej z ziemnymi ławami.

ŁUCZANOWICE

Podobnym, lecz nie zachowanym w całości, jest ogród w Łuczanowicach (pow. Kraków). Nawet sytuacja jest tu zbliżona. Łagodny stok lessowego wzgórza, przełamany tarasem, pod którym wznosi się nowy dwór, a niżej stawy rybne w dolinie. W dali zaś za Wisłą widać wzniesienia Pogórza.

Tak jak w Paszkówce trzy ściany ogrodu (22 × 40 m) stanowiły szpalery grabowe, czwartą — drewniany dwór z 1787 roku o gontowym mansardowym dachu, dziś już nie istniejący (rozebrany 3 lata temu). Również ze starych szpalerów został tylko jeden, od wschodu. Pozostałe zastąpiło kilkadziesiąt lat temu lipową aleją (poważnie przetrzebioną) i akcjami, a o tym, że dawniej również tu rosły graby, świadczy pień jednego z nich, który przetrwał jeszcze



w zachodniej części ogrodu. Zachowany fragment składa się z sędziwych grabów (do 2,2 m w pierśnicy) tworzących zielony, cienisty, korytarz zakończony obszerną altaną, przedłużoną ku południowi, młodym szpalerem grabowym.

ALEKSANDROWICE

Następny z omawianych ogrodów — Aleksandrowice należy do innej odmiany — tak zwanej tarasowej. Podobnie jak w poprzednich przykładach również tu założenie skupiało się wokół prostokątnej kwatery (60 × 120 m), z tym, że opadała ona po stoku jurajskiego wzgórza trzema tarasami ku zabudowaniom i stawom. Niestety dwór rozebrano kilkadziesiąt lat temu, zaś szpalery grabowe częściowo wycięli Niemcy w ostatniej wojnie. Mimo to plan ogrodu jest czytelny i do dziś stare szpalery, miejscami uzupełnione młodymi grabami otaczają z trzech stron tarasy.

Najwyższy z nich ma kształt szerokiego chodnika, u stóp którego leży cały ogród, nad którym widać tylko ogromny przestwór nieba jakby celowo pokazany, by móc również podziwiać w całej okazałości jego zmienność.

Zarówno na osi ogrodu, jak w bocznych szpalerach zachowały się miejscami kamienne schody łączące ze sobą różne poziomy ogrodu. „Ulica” biegnąca od resztek ruin dworu przez środek, wybiega poza obręb założenia i wspina się (wyciętym szpalerem, a później zagajnikiem) na szczyt stromej Winnej Góry. Tu zapewne wśród winnic zasłoniętych od północy rzędem lip, od wschodu i zachodu lasem, znajdowała się altana, dająca wspaniały widok poprzez ogród, wieś i stawy na dolinę Wisły, z samotnymi wzgórzami Tyńca, Piekar i Grodziska, oraz dalej na Pogórze i Beskidy.

Cennym uzupełnieniem do tego opisu jest zachowana lustracja ogrodu z 1774 roku⁷. Według niej: „Za tym Pałacem” — piętrowym, z basztą, kaplicą, o pokojach zdobnych włoską robotą, znajdował się — „Ogród Włoski porządkny, na 3 kondygnacje. Ulice grabiną wysadzone porządne i obcinane z drzewami różnymi owocowymi, kwatery w nim 10, różną włoszczyzną zasiane i zieleń i kwiatami różnymi... Okien inspektowych w tym ogrodzie złych siedm... turtek dwie... jedna do Dziedzińca... druga... ku Winnej Górze”. Prócz tego były sady i osobny ogród warzywny.

GŁĘBOWICE

Również tarasowym i bardzo podobnym do aleksandrowickiego jest ogród w Głębowicach (pow. Wadowice). Położony na stoku wzgórza opada dwoma tarasami ku otoczonemu fosą obronnemu dworowi, poniżej którego ciągną się dolina rybne stawy.

Od dworu do ogrodu przechodzi się kamiennym mostem, by znaleźć się we wnętrzu, z trzech stron otoczonym młodymi grabowymi szpalerami. Tarasy ukształtowane są tu nieco inaczej jak w Aleksandrowicach. Mianowicie górny taras dwoma wysuniętymi wałami ziemnymi ujmują dolny, stąd szpalery w całym ogrodzie znajdują się na tym samym poziomie. Na osi poprzecznej zaś, mieszczą się w nich dwie altany: kwadratowa i okrągła, opatrzone kamiennymi stołami.

mi. Boczne szpalery kończą od strony dworu wielkie stare dęby.

Oś podłużną zaznacza wybiegająca poza ogród ścieżka, pnąca się pośród owocowych drzew ku kopcowi na szczycie wzgórza, dającemu szeroki widok ponad rozległym sadem.

Czas powstania opisanych tu ogrodów można odnieść ze względu na formę, wiek drzew, oraz dane historyczne na okres renesansu lub wczesnego baroku. Nie znaczy to jednak by w późniejszym czasie w okresie rozwoju ogrodu holenderskiego, francuskiego, a nawet angielskiego, nie stosowano układów kwatrowych właściwych ogrodom włoskim. Wprost przeciwnie, zwłaszcza na prowincji pozostają one ciągle aktualnym elementem założenia dworskiego.

SIDZINA

Tak na przykład do tego samego rodzaju, co opisywana tu odmiana ogrodu włoskiego, należeć będzie Sidzina, założona już w XIX wieku.

Na lekkim wzniesieniu, u stóp lesistych tyńskich wzgórz, stoi typowy drewniany dwór nakryty polskim, łamanym dachem. Przed nim nieco niżej grobla na stawach, za nim, na lekkim stoku duża kwatery (85 × 40 m), otoczona od zachodu pojedynczym, od północy podwójnym rzędem lip, zaś od wschodu dębami, akacjami, lipami i jesionami. Biegnąca od dworu po osi ogrodu ścieżka kończy się w kolistej lipowej altanie, do której w czasie upałów dawano „stół w cień lipowy, gdzie gospodarskiej głowy od gorącego lata broni list, za wsadzenie przyjemna zapłata”⁸.

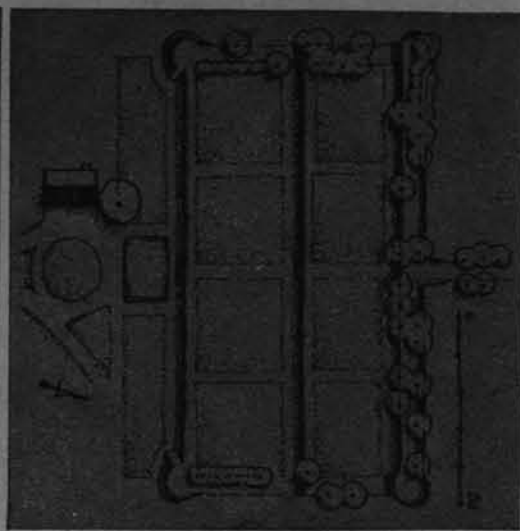
Dawniej, według miejscowej tradycji, całe wnętrze dzieliło się na mniejsze kwatery obsadzone drzewami owocowymi i kwiatami.

Stare inwentarze nie wspominają nic o istnieniu „ogrodu włoskiego” w Sidzynie. W roku 1690 wymieniono tylko: „...Za Budynkiem Wielkim Chmielnik, w ogrodzie stawów dwa, i sadzawka przede dworem”; zaś w 1745: „Specyfikacja Ogrodów, zasłanych jarzyną zagonów 11, marchwie zagonów 12...” itd.⁹ Również wiek drzew wskazuje, że ogród ma „tylko” około 100 lat.

Opisane tu ogrody nie zachowały oczywiście swego pierwotnego wyglądu, raz dlatego, że nie są utrzymane w należytych stanie, powtóre ze względu na to, iż szpalery i drzewa rozrosły się do nieprzewidzianych przez ogrodnika rozmiarów. Choć na pewno nie straciły przez to swego piękna i uroku, to jednak by móc wyobrazić sobie jak dawniej wyglądały trzeba sięgnąć do współczesnych im opisów.

Już z przytoczonych poprzednio inwentarzy wynika że „ulice to jest szpalery” z grabiny buczyny lub lipy, albo „chodniki” to jest „cienie z grabiny związane chłód i cień czyniące” (tzw. bindaże), stanowiły tylko — w wypadku omawianej odmiany — zewnętrzną ramę ogrodu. Wewnątrz zaś znajdują się przestrzeń dzielona na mniejsze kwatery, których liczba była różna, lecz zwykle wahająca się w granicach 6–10. Nie były one jednak tak samo urządzone, lecz w miarę potrzeb i gustu właściciela, każda kwatery mogła wyglądać inaczej.

Tak na przykład jeden z inwentarzy z 1709 roku podaje: „W ogrodzie kwatery 9, bukszpanem wysadzanych



Po lewej: fragment wyciętego parku w Kurdwanowie. Powyżej: plan ogrodu włoskiego w Aleksandrowicach.

i przy nich boczne drzewa różne sadzone, porzeczki, maliny, agrest i winogrodki po trosze we 4 miejscach i kilka drzewek brzości...” Gdzie indziej znowu czytamy: „...kwatery... bukszpanami nasadzone jedne ziołami i kwieciami różnym zasadzone, drugie ligustrem strzyżonym obwieszionymi... drzewa i szczyple... owocowe różne cudzoziemskie” itd.

Tym sposobem obok kwatery „wysokich” — obsadzonych drzewkami owocowymi, były kwatery „średnie” — otoczone krzewami i „niskie” — kwiatowoziołowe. Zgodnie z współczesnym wierszem Jana Jakuba Trembeckiego (Przedmowa z przestroga do czytelnika): „Jak w wirydarzach nie wszystko lilije, nie wszystko róże albo tulipany, nie wszystko narcyz, nie wszystko kassye, ale i proste najdziesz majerany, i z których ciężki jakiś odor bije, mięty i ruty ujrzyś na przemiany...”

Prócz opisanych elementów ogrody te posiadały również i inne atrakcje.

Na przykład w jednym z nich według lustracji „...w rogu jest stół marmurowy... ławek koło niego starych trzy... w dolinie jest karmnik na 4 słupach...” były więc i ptaki. Gdzie indziej czytamy: „...Wszedłszy w ogród koło budynków w lewą rękę przy ścieżce jest kompas z kamieniem marmurowym na słupie starym...” (chodzi tu o zegar słoneczny). Cały wreszcie ogród był „balasami ogrodzony, w parkan gontami pobity”, lub otoczony zwykłymi sztachetami.

Tak więc zestawiając istniejące zabytki, stare wiersze, lustracje i opisy można uzyskać obraz, jednego z najstarszych, a zarazem najtypowszych rodzajów ogrodów polskich, który utrzymał się w użyciu i modzie przez z górą 300 lat (XVI–XIX w.). Tajemnica tego powodzenia tkwi zapewne w jego prostocie i użyteczności.

Cóż bowiem może być prostszego nad ogród ozdobny wspólny z użytkowym otoczony ochronnym szpalerem grabów i dębów, lip czy buków, dających mu osłonę od wiatrów i mrozu, a człowiekowi wypoczynek i chłód w skwarne dni? Przy tym wszystko powiązane jest z domem i otaczającym pięknym krajobrazem. Można powiedzieć, że przy użyciu najskromniejszych środków, bez fałszywego monumentalizmu i pompy, urzeczywistniono tu głęboko humanistyczną, a tak trudną do realizacji zasadę, harmonijnego powiązania użyteczności i piękna.

JANUSZ BOGDANOWSKI

⁶ Relaciones Castris Cracoviensis 168, s. 334. Rękopis w Woj. Archiwum Państw. w Krakowie.

⁷ Do niego bowiem wypadnie zaliczyć na przykład całą dużą grupę ogrodów w rejonie Gór Świętokrzyskich, Rzeszowa, a nawet szereg ogrodów z terenu Pomorza.

⁸ Rel. Castr. Crac. 205, s. 1928. WAP Kraków (por. pkt. 5).

⁹ J. Kochanowski. Poezje wybrane. Warszawa 1954, s. 32.

¹⁰ Rel. Castr. Crac. 117, s. 125, oraz 173 s. 1235, WAP Kraków (porównaj punkt 5).

NUMIZMATYKA ZAKOPIAŃSKA

Historię kuźnic zakopiańskich, opowiedzianą w „ZIEMI”, w nrze 1 z bieżącego roku, przez K. Steckiego, uzupełnimy tutaj numizmatyką regionalną Zakopanego. Rzecz trzeba jednak podbudować kilkoma informacjami gospodarczymi.

„Hamry” zakopiańskie produkowały w szczytowym okresie swego rozwoju, (ok. roku 1837), rocznie około 6500 centnarów wiedeńskich wyrobów żelaznych. Licząc po 56 kg na centnar, czyniło to rocznie około 360 ton żelaza, do czego zużywano ponad 1000 ton rudy i piętnaście tysięcy metrów sześciennych drewna z pobliskich lasów. Rentowność przedsiębiorstwa od początku stała pod znakiem zapytania. Sztolnie tatrzańskie były zawsze mało wydajne, a wycinany rabunkowo las odsuwał się coraz bardziej od huty, podrażając koszt transportu drewna do wielkiego pieca. Trudności mnożyły się nie tylko w produkcji, lecz i w zbyciu. Gotowe wyroby kuźnicze trzeba było wozic furkami góralskimi do Krakowa i Bochni (105 km), płacąc za centnar ładunku 60 krajcarów, lub do Nowego Sącza (98 km) przy stawce 45 krajcarów za 1 ctn. Przy tych stawkach, świadczących o gwałtownym zarobkach góralskich, już około 1860 roku żelazo zakopiańskie nie mogło na rynku krakowskim konkurować z żelazem górnośląskim, wytwarzanym na tanim lokalnym węglu kamiennym tym bardziej, że w tym czasie Austria obniżyła znacznie stawki celne. Ostatecznie kopalnie rudy wyczerpały się zupełnie około roku 1876. Jeszcze przez parę lat dowożono rudę z Węgier, a wkrótce po roku 1880 zakłady górniczo-hutnicze w Zakopanem zakończyły swój żywot. Ich rozkwit w drugiej ćwierci XIX wieku był zasługą ruchliwej i przedsiębiorczej rodziny Homolaców, właścicieli dóbr, kopalni i kuźnic zakopiańskich. Jak pisał Liberak w swej pracy „Górnictwo i hutnictwo w Tatrach Polskich”, zamieszczoną w roczniku 1927 czasopisma „Wierchy”, z biegiem lat chyłący się ku upadkowi zakład kuźniczy zmienił coraz częściej właścicieli. Po jednym z nich, jak i po Homolacach pozostały nam interesujące numizmaty.

Obok reprodukcji zakopiańskiej monety dominialnej, znaną dotychczas tylko w jednym egzemplarzu, chyba że dalsze okazy kryją się w magazynie Muzeum Tatrzańskiego w Zakopanem. Zagadkowość jej polega na walucie groszowej, gdy przecież od końca XVIII wieku Zakopane leży w zaborze austriackim, gdzie obowiązuje waluta krajcarowa (florenowa). Moneta ta zdaje się pochodzić z okresu najwyższej działalności Homolaców, wydana przez nich w latach około 1830—1840. Kontakt handlowy Kuźnic z Krakowem był wówczas bardzo żywy, w Krakowie zaś obowiązywała waluta groszowo-złotowa Królestwa Kongresowego, wzmocniona w roku 1835 własną działalnością menniczą Wolnego Miasta Krakowa. Tradycje Polski królewskiej były wówczas na Podhalu bardzo żywe. Zbliżała się Wiosna Ludów i Powstanie Chochołowskie. Nie było nic dziwnego, że Homolacowie zamówili swoją monetę dominialną w walucie polskiej, w walucie krakowskiej, gdzie ją wybito w Krakowie z cynku, który na zasadzie zniżonego cła przywieziono z pobliskiego Śląska, był nowością techniczną.

W ćwierć wieku później, około r. 1860—1870, w okresie zmieniających się właścicieli kuźnic zakopiańskich, jednym z nich miał być rzekomo przemysłowiec austriacki, niejaki Magnus Pelz, który dla swoich pracowników założył na wzór niemiecki „konsum”, odpowiadający dzisiejszej spółdzielni spożywców. Do wewnętrznych rozliczeń w konsumie wybił on monetę firmową w walucie krajcarowej. Jak na razie jest ona również znana tylko w jednym jedynym egzemplarzu, podarowanym mi przed ćwierćwiekiem przez sędziwego mieszkańca Zakopanego. Jemu to zawdzięczam niniejszą informację, wymagającą sprawdzenia w dokumentach archiwalnych. Moneta ta może być importem z macierzystych zakładów Pelza, nie zmienia to jednak jej lokalnego, zakopiańskiego znaczenia.

Jest wreszcie trzeci okres w historii numizmatyki zakopiańskiej, godny uwiecznienia: rok 1919, pierwszy rok odrodzonej Rzeczypospolitej, w którym, na terenie b. zaboru austriackiego obowiązywała jeszcze waluta koronowa. W braku drobnej monety zdawkowej, na terenie całej Polski pojawia się wówczas ponowna fala (pierwsza objęła lata 1914—15) zastępczego pieniądza papierowego, opisanego dokładnie przez jej znakomitego badacza Tadeusza Solkiego w jego książce: „Spis bonów wojennych z lat 1914—20”, wydanej nakładem Lwowskiego Oddziału Tow. Numizmatycznego Krakowskiego po raz pierwszy w r. 1921, wyd. drugie w r. 1924.

Wśród reprodukowanych 8 bonów papierowych, wydanych w r. 1919 przez firmy zakopiańskie brak jeszcze 2 okazów: bonów Mleczarni Lwowskiej i rzeźnika Singera.

Z tego może nieco przydługiego opisu spraw numizmatyki zakopiańskiej wynika dla wędrowców-krajoznawców następujące trojaki kolumbowo-odkrywcze zadanie. Po pierwsze: 60-groszówka zakopiańska Homolaców, równa dwóm złotym z tego czasu, nasuwa uzasadnione przypuszczenie, że wydano wówczas jeszcze monety mniejszej wartości: może złotówkę równą 30 groszom, może półzłotkę równą 15 groszom, a może za przykładem Wolnego Miasta Krakowa 10- i 5-groszówki. Któż może przewidzieć, czy skrupulatne poszukiwania w starych chatach zakopiańskich górali nie doprowadzą do odkrycia tych brakujących ogniw. Wyszło by to na niepomierny pożytek przede wszystkim zbiorom Muzeum Tatrzańkiego, gdzie aż się prosi o jedną gablotkę ścienną z lokalną numizmatyką.

Po drugie: jeżeli Magnus Pelz wydał 50-krajcarówkę do chwalebego użytku zarówno w konsumie spożywców, jak i w dwóch sławnych karczmach, dziś już nie istniejących, w których „hawierze” przepijali swoje nędzne zarobki, to kto wie, czy w ostatnich istniejących hawierskich chatkach na Kuźnicach nie można by również odnaleźć sztuk do kompletu: może 10- a może i 5-krajcarowych.

Po trzecie: dwa papierowe bony z r. 1919, o których piszę powyżej, chyba nie zaginęły doszczętnie w ostatnich 40 latach? A gdyby tak poszukać? W naszym Skarbczyku chętnie doniesiemy o szczęśliwych znaleziskach i podamy nazwiska numizmatycznych Kolumbów. Życzymy pomyślnych łowów!



SKARB CZYK
NUMIZMATYCZNY

3 REDAGUJE
TADEUSZ KAŁKOWSKI

Obok: moneta firmowa konsumu w Hucie Harnerskiej w Zakopanem — Kuźnicach, wydana przez przemysłowca Magnusa Pelza. Pełny napis MAGNUS PELZ'SCHE WERKE CONSUMVEREIN. Mosiądz, średnica 28,5 mm. Fot. A. Broż.

Poniżej: zespół bonów papierowych wydanych w roku 1919 przez zakopiańskie firmy handlowe (w zmniejszeniu). Fot. A. Broż.



SKRZYŃKA
POCZTOWA

Srebrna 15-krajcarówka Jerzego Wilhelma, ostatniego Piasta, księcia na Legnicy, Brzegu i Wołowie. Moneta wybita w mennicy w Brzegu n. Odrą w 1677 r.

Stanisław W. Płock. Gratulujemy pięknemu nabytku i doskonałej odbitki z monety naprawdę rzadkiej. Przedstawia ona 15-krajcarówkę ostatniego Piasta, Jerzego Wilhelma, księcia na Legnicy, Brzegu i Wołowie, który objął rząd w r. 1674 i już w następnym roku zmarł przedwcześnie. Wartość monety podana jest rzymską cyfrą XV pod popiersiem. Monetę wybita mennica w Brzegu n/Odrą. Reprodukujemy ją do użytku wszystkich

czytelników Skarbczyka. Józef P. Przemyśl. Z samego opisu, dość niedokładnego, trudno nam się zorientować co do rodzaju posiadanej monety. Prosimy przysłać odbitkę. Ryszard Z. Zielona Góra. Nieśwety w polskiej literaturze numizmatycznej nie posiadamy poradnika dla początkujących numizmatyków. Z biegiem czasu podamy w Skarbczyku najważniejsze wiadomości z tej dziedziny.

NOTATKI BIBLIOGRAFICZNE

Wiadomości Numizmatyczne, Rok I, 1957, Nr 2 zawierają między innymi następujące prace: M. Fredro-Bonleka daje przegląd medalii wybitnych ku czci Adama Mickiewicza, T. Kałkowski pisze o spodeniu pieniądza w Niemczech w XVII wieku, Z. Wdowiszewski przedstawia nieznaną dotąd monetę prywatną Radziwiłła z końca XVIII wieku, a T. Kiersnowska przypomina na podstawie pamietnika Ewy Felickiej o nieznanym skarbie monet wczesnośredniowiecznych,

wykopanych w Hołynie na Polesiu w r. 1806. Zbieraczce powitają z uznaniem dalszy ciąg Katalogu monet polskich 1917—1944 W. Terleckiego, doprowadzonego do roku 1924. Notatki bibliograficzne, opis znalezisk i kronika kończą ten zeszyt. Przypominamy adres redakcji i administracji: Warszawa, ul. Jezuicka 6. Abonament za rok 1957 i na rok 1958 łącznie 75 złotych. Gupieniec A. Skarb monet wczesnośredniowiecznych z Łasku. Rozprawa w „Studiach i materiałach

Muzeum Arch. w Łodzi”. Łódź 1957, str. 117—145 i 8 tabl. Skarb zakopany ok. roku 1640 zawierał 281 monet i dwa placki srebrne. Monety były polskie, czeskie, węgierskie, przeważnie jednak niemieckie. Bernat S. Tetyda z zagłowcem na głowie. „Morsze” 1958, Nr 3. Krótki przegląd medalii polskich o tematyce morskiej. „Numizmatyk Krakowski”. Miesięczny wewnętrzny komunikat numizmatyczny dla członków Sekcji Numizmatycznej.



Zakopiańska moneta dominialna, prawdopodobnie wydana przez Homolaców w latach 1830—1840. Cynk, średnica 20,2 mm

KRAKOWSKIE PAROSTATKI

MARIAN KORNECKI

Ktoś powiedział, że obecnie w Wiśle pod Krakowem jest znacznie mniej wody, niż dawniej. Bo też jak niegdyś zdarzała się powódź — woda zalewała całe dzielnice. I tak, jak opowiadają ludzie starsi, jednego roku nawet łodziami pływno po ulicy Wolskiej (były wtedy w Krakowie łodzie!). Później Wisłę uregulowano i wylewy w mieście się skończyły, a regulacja miała również ułatwić żeglugę. Częsty był więc widok statku, ciągnącego pod prąd rząd galarów, które później, pełne węgla, całymi dniami płynęły w dół rzeki. Można było podziwiać wprawę i zręczność flisaków, prowadzących pewnie szerokie galary, wyposażone przecież w najprymitywniejsze urządzenia sterownicze, omijających wszelkie przeszkody, łąchy piasku i kamieni. Wieczorami w Krakowie stałe kotwiczyły liczne galary, a mieszkające na ich pokładzie załogi, paliły ogień na brzegu.

Żegluga parowa po górnej Wiśle miała przecież i humorystyczne aspekty. Zbliżając się do brzegu, można było często spostrzec wśród krzaków i pasącego bydła — jakiś wysoki

cienki komin, zawzięcie kopący i przesuwający się w krajobrazie. Dopiero całkiem z bliska widziało się wąską i płytką rzekę, a pośrodku prądu lawirujący między płycznami stosunkowo duży statek z kołami łopatkowymi po bokach kadłuba, rzadziej za rufą. Płynąc z wieloma galarami, ostre zakręty przebywano czasem w ciągu kilku godzin. Poszczególne galary, zarzucane prądem odpychano z niemałym wysiłkiem drągami, w czym brała udział cała załoga „konwoju”. Statkiem manewrowano w tył i naprzód, wśród okrzyków i sygnałów syreną. Wymijanie statków i galarów płynących naprzeciw, przepływanie popod mostami lub żegluga we mgle, wymagały dużej umiejętności. Patrząc na szumiący po kamieniach, bystry prąd Wisły pod klasztorem Norbertanek na Zwierzyńcu, nieraz zastanawiałem się, jak wtedy przepływano?...

Przed ostatnią wojną w Krakowie kotwiczyło stale kilkanaście statków; większość z nich należała do znanych firm węglowych, jak ówczesna „Żegluga Polska”, Kwiatkowskiego i in. Były to holowniki parowe o na-

zwach: „Piast”, „Melsztyn”, „Światowid”, „Święty Jan”, „Stanisław” i parę innych, których nazwy zapomniałem. W Krakowie przebywał też stale statek „salonowy” — „Dunajec”, odbywający od czasu do czasu kursy spacerowe i wycieczkowe. W pogodne niedziele, a zwłaszcza podczas Zielonych Świątek, wszystkie statki kursowały na Bielany, do Tyńca, umajone zielenią, nierzadko z orkiestrą na pokładzie i zaimprovizowanym dansingiem. Po drodze taka trwała ponad godzinę, ale atrakcja była to niemała. Przystań pod Wawelem tętniła życiem.

Osobną kartę dziejów żeglugi wiślanej w Krakowie stanowiły kursy stateczku „Paweł” do Nowego Korczyna w czasie okupacji hitlerowskiej. Statek był zatłoczony do ostatniego miejsca na pokładzie. W kabine, na mostku i gdzie tylko można się było zmieścić, pełno było ludzi i towarów. Pasażerowie solidarnie, wraz z załogą spychali statek z mielizn. Tą też drogą wpłynęło do Krakowa wiele ton mąki, którą przezornie wyokrętowywano na długo

przed przystanią, aby uniknąć rekwizycji przez policję niemiecką.

Leży przede mną rodzinny album fotograficzny. A w nim, pośród podobizn brodatych prawuków — kilka zdjęć dawnych statków na Wiśle; sądzę, że mogą one niejednego zainteresować. Fotografie wykonano w 1909 lub 1910 roku na przystani pasażerskiej pod Wawelem. Widzimy tu statki pod banderą cesarską i polską (były to przecież czasy miłościwie panującego cesarza Franz-Jozefa). Nazwy miały patriotyczne: „Wawel” i „Wanda” (nazwa trzeciej „jednostki” nie jest mi znana). Na pierwszym zaś planie widzimy krakowian, w tym ówczesne „kociaki”, w sukniach do ziemi i okazałych kapeluszach z kwiatami, z przeciwslonecznymi parasolkami.

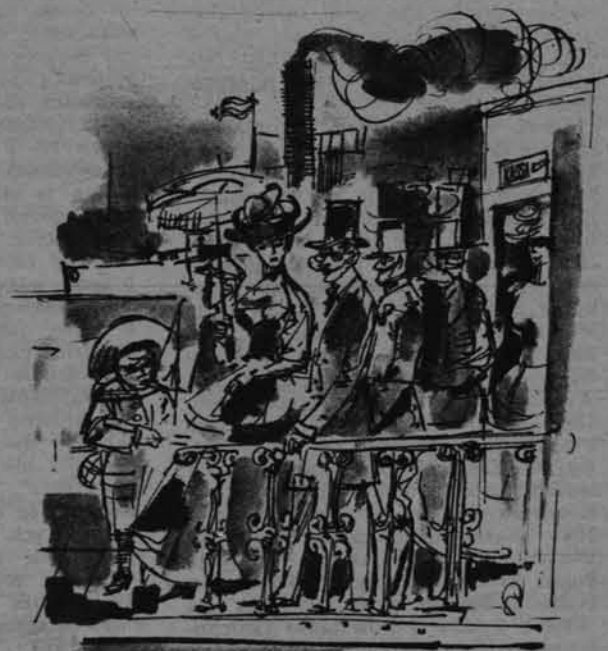
Zastrzegam: nie jestem żadnym specjalistą od żeglugi na słodkich wodach i być może, że to i owo w tych wspomnieniach można by sprostować, a na pewno bardzo dużo dodać. Gdyby ktoś chciał coś na ten temat napisać — na pewno znalazłby wdzięcznych czytelników.



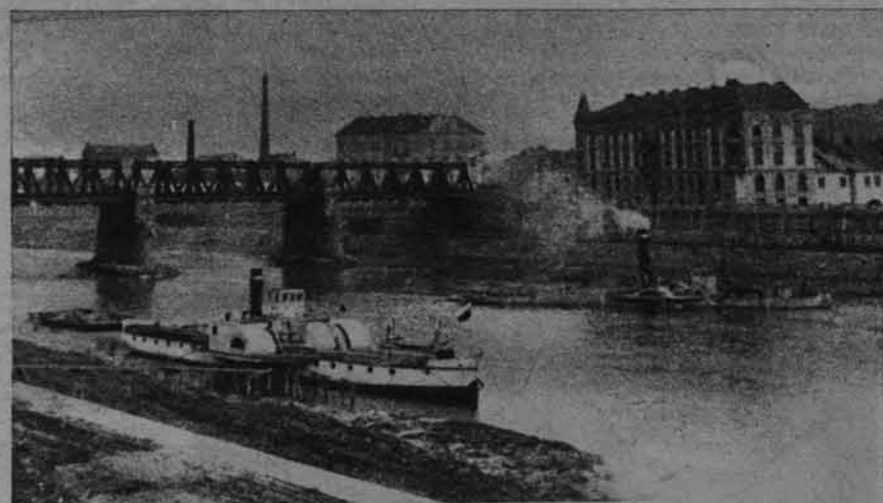
Po lewej: statek nr 1 żeglugi wiślanej — „Stanisław” z wycieczką na Wiśle pod Tyńcem. Rok 1945.



U dołu po lewej: statek „Wawel”, na prawo „Wanda”. Nazwa środkowego — nie znana. Rok 1910. U dołu: dawny most podgórski w roku 1925. Przed mostem „Stanisław” i „Piast”.



Rys. Jerzy Świecimski





Rys. J. Świecicki

Rok 1910. Statek „Wawel” obserwowany przez niedzielnych spacerowiczów, wpływa pod most dębicki.

K O N I E C



REJS ORIONA

MARIAN MICKIEWICZ

Wpłynęliśmy na Zatokę Fińską. „Orion”, zatacza się na boki, leci w górę i w dół. A tu trzeba smażyć następną porcję placzków. Muszę się śpieszyć, bo niedługo moja wachta. Nakładam na przyskającą tłuszczem patelnię kilka następnych łyżek ciasta z ziemniaków i maki. Placki przypominają podeszwy z mikrogumy. Zapieram się mocno plecami o trap i próbuję postawić patelnię na kuchence, która w tej chwili godzi w mój nos, by po sekundzie „kiwnąć” się wahadłem pod dek.

Wanty zaczynają jęczeć, dają więc spokój kuchceni i po krótkiej szamotaninie ze sztormiakami wychodzę na dek. Od południowego zachodu niebo pokrywa czarny niski, zbity wał chmur. Wokoło jak sięgnąć okiem wysokie pagórki wody z białymi czapami piany. Z tyłu nadbiega fala i zwisa na moment nad rufą. Wydaje się że już, już na nasze głowy zwalą się tonny wody. Zamykam oczy i kurczowo chwytam jakąś linę. Czuje, jak rufa jachtu wylatuje gdzieś wysoko. Po chwili „Orion” pędzi w dół po stoku wodnego pagóra. Jacht pędzi na fok i grocie zarefowanym na chusteczkę, zostawiając za rufą biały spieniony ślad. Niemal czujemy wysiłek napiętych do ostateczności żagli i pracę wibrujących lin. Wiatr dochodzi do 7° B. Idziemy teraz pełnym baksztagiem i sternik musi ciężko pracować by utrzymać jacht na kursie.

Sprawa zaczyna być poważna. Czarne plachty chmur są coraz bliżej. Przez głowę przemyka myśl że już czas na sztormowe żagle. Zanim zdążyłem coś zrobić, było za późno. Uderzył nas mocny cios dmuchu. Jacht położył się na lewą burtę. Usłyszeliś-

my głuchy trzask. — Fok poszedł. Rzuciłem się do foku. Pokład stawał dęba, lały się po nim rzeki wody, wanty już nie jęczały a wyły, ryk wiatru przypominał samoloty odrzutowe. Dziób poleciał w dół, a na pokład i na nas zwała się woda. Fok precz! — Po sekundzie, dziko łopoczące płótno opadło w dół. Potem przysła jedna, druga, trzecia fala i pod sztormanką płynęły zimne strumyki morskiej wody. Fok był na deku.

Szczękając zębami, zalewani przez fale, zapinaliśmy zgrabiały palcami karabinki sztormowego foka. Za wałem chmur zachodziło czerwone słońce, woda też była czerwona, nawet długie warkocze i pasy piany na ciągle rosnących łańcuchach fal były różowe.

Kiedy stanął trajsel słońca już nie było, a chmury pokryły całe niebo. Na pokładzie został kapitan i wachta. Przez kokpit raz po raz przewalały się fale i coraz mniej suchych miejsc było pod sztormankami.

Idziemy teraz prawie półwiatrem, po zawietrznej kłębi się na deku białe żerowisko. Fala rośnie. O 19,30 zrzuciliśmy trajsel. O 20 zmiana wachty. W mesie, dziki jazgot — łyżki, widelce, talerze, patelnia — wszystko to kursuje swoimi drogami i wydzwania jakiś przedziwny, wariacki jazz: drzwiczki od którejś szafki kłokocą niczym karabin maszynowy, jacht skrzypi każdym wiązaniem, a wycie olinowania, ryk wiatru i łoskot fal dopełniają „melodii”. — Wtłaczamy się do zwolnionych miejsc (wszyscy śpiący w mesie, bo hundki ciekna).

Tej nocy o prowadzeniu nawigacji nie mogło być mowy i tylko na podstawie logicznych przesłanek (wiatr

SSW, sztormowanie na fok, dryf) orzekliśmy, że jesteśmy gdzieś u fińskich wybrzeży. Kiedy więc na kursie zaczęły mrugać latarnie i gdy spis latarni (z 1938 r.) powiedział niedwuznacznie, że światło przerywane w grupach po 3 to Porkala Udde, nie mieliśmy żadnych wątpliwości — niedługo Helsinki. Razem z ponurym, zimnym światłem na horyzoncie wyrosła ciemna linia brzegu. Po 1,5 godzinie widać już było biały port za szarym, kamiennym falochronem, fontanny wody fantastycznej wysokości strzelającej przy falochronie i otaczających go skałach. Marzył się odpoczynek po ciężkiej nocy, gorąca kawa itp. Niestety port był raczej mizerną przystanią, a fala w nim niewiele mniejsza niż na morzu. W dodatku wybrzeże nie bardzo pasowało od mapy, a portu na mapie nie było. Więc zwrot, już prawie między głowkami falochronów. Do Helsinek niedaleko.

Jeżeli to była Porkala, to gdzieś na E powinien być latarnowiec Helsinki. Szukamy go. — Jest, w oddali rysuje się ciemna sylwetka nieruchomego statku — więc kurs na niego. Niedługo zobaczyliśmy go wyraźniej. Zniknęło zmęczenie, odleciał apetyt na gorącą kawę, a włosy nabrały tendencji do lekkiego zjeżenia się. Rzekomy latarnowiec był wrakiem potężnego okrętu. Dookoła niego szalało piekło — woda biała jak śnieg strzelała w górę groźnymi gejzerami, przelewała się przez pokłady trupa, huczała, wyła, pomiędzy białymi płatami piany przelatywały czarne, oślizgłe czapy skał. „Orion” szedł baksztagiem na sztormowym fok. Olbrzymie, załamujące się fale to wyrzucały go na grzbiety, odsłaniając

pelen grozy widok, to ciskały w dół przesłaniając wszystko zielonkawą ścianą. Na pokład z głuchym łoskotem wpadały grzywacze. Białe klebowisko coraz bliżej, widać jak z burt wraku zwisają niby podarte szmaty arkusze przedziewiałej blachy, z pokładu sterczy kikut złamanego przedniego masztu, a szczątki nadbudówek, jakieś belki, rury, blachy, powyginane się w przedziwne węzowe sploty.

Załoga kurczowo trzyma się lin, rozszerzone oczy wlepiły się w rosnące pazury skał. — Cisza, słychać tylko przyspieszone oddechy, huczą fale i wyje wiatr, ktoś wolno, z wysiłkiem jakgdyby przez zaciśnięte gardło mówi „to nie Helsinki, to, to...”

Głos kapitana odrywa wzrok od skał „do zwrotu przez rufę”. „Ster lewo na burt” — „Jest lewo na burt” powtarza sternik. Jacht wolno, wolno odwraca się dziobem od raf. Już są na prawym trawersie. — „Tak trzymać”. Orion mozolnie, uparcie przebiega przez fale — minuty wloką się jak godziny, coraz bliżej są skały — stawiamy trajsel. Wrak cofa się do tyłu, już jest za rufą. Dwa kable przed nami czysta woda. Czy wyjdziemy? Czy nie zdryfuje nas tam? Jeszcze 10 minut, pięć, dwie. Kipiel została za nami. Ale co dalej? Gdzie jesteśmy? Tym kursem przecież idziemy na brzeg.

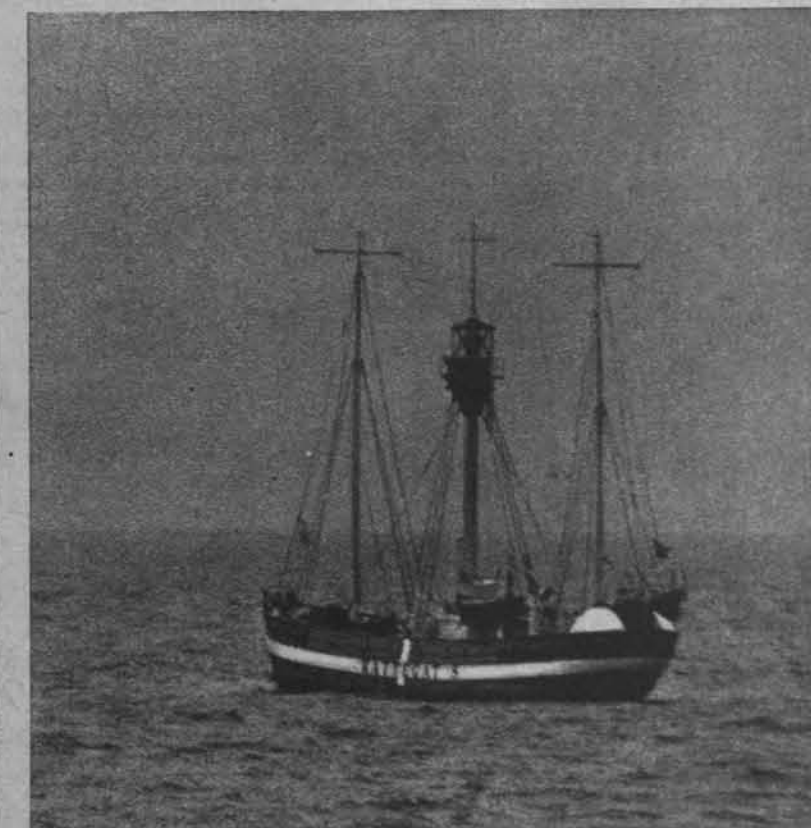
Nerwowo przerzucam mapy fińskiego wybrzeża. Takiego wraku ani takiego portu nigdzie nie ma. O do diabła! Czas ucieka. Koledzy ile trzymać? Z deku schodzą poblady Antek — bierze mapę — ze zdziwieniem widzę, że jego palce wędrują wzdłuż estońskiego wybrzeża — Tallin... i wreszcie... wyspa Odens-Holm obok rafy Ut Grundet z wrakiem statku. Spojrzeliśmy na siebie.



REJSY MORSKIE



FOTOGRAFIE:
A. KRYDA · M. KUCZYŃ-
SKI · W. STROJNY
W. ZUBRZYCKI



WARSZAWSKI SŁOWAK

Z roku na rok nikną z ulic naszych wielkich miast postacie popularnych niegdyś wędrownych rzemieślników. Coraz rzadziej słychać po podwórkach przeciągłe wołanie naprawiaczy garnków. Coraz rzadziej rozlega się dźwięk młotka, którym oznajmia swe przybycie szlifierz noży. A przecież jeszcze stosunkowo nie tak dawno rzemieślnik-obieżyświat należał do charakterystycznych sylwetek miejskiej ulicy.

O takich paru „Ostatnich Mohikanach” warszawskiego rzemiosła ulicznego opowiada Jerzy Ficowski. Drukowane tu fragmenty pochodzą z obszernego szkicu obyczajowego na temat dawnej Warszawy, mającego się ukazać drukiem w tym roku.

Od dawien dawna ściągali do Warszawy z dalekich stron, nie raz strojni w czarne kapeulsze, obcisłe portki i kierzce. Postugiwali się dziwną, twardą mową, podobną do naszej, ale nie tą samą. Od pokoleń porzucali swą ojczyznę dla chleba i ściągali gromadkami do Warszawy. Na ojczystej Słowacji bieda była, wyganiała z rodzinnych stron we wszystkie obce strony, do dalekich cudzych miast.

Odkąd ich tak bieda po świecie włożyła... znają warszawskie podwórka zawołanie: „Garki drutowali, pobielali!” Odkąd pierwszy Słowak przybył do Warszawy — garnki miały już dłuższy żywot, wzmacniane, naprawiane przez druciara. Ze zwojami drutu, przewieszonymi przez ramie, chodzili słowaccy chłopcy po domach oddawać gotową robotę i przyjmować do naprawy...

Starym druciarskim szlakiem przywędrował w 1902 roku ze swojej Słowacji do nieznanej Warszawy dwunastoletni Ondrej Knażek. Został rodziców, chłopów ze wsi Wysoka nad rzeką Kiszną, rozstał się z ojczyzną i rodzeństwem. Poszedł w Warszawie szukać szczęścia, z nim kum jeden. Inni też szli do Warszawy, albo Łodzi, to znów — do Moskwy, Petersburga, do Wiednia. Gdzie oni nie zaszli! Do Ameryki samej nawet. To były czasy Franciszka Józefa. Komu dobrze było, temu dobrze, ale na Słowacji, po wsiach bieda była najbiedniejsza. Kobiety same orały, siały, przy gospodarstwie jakim takim się krzątały. Chłopa rzadko gdzie zobaczyć było można: tylko chorzy, czy ułomni pozostawali, co im sił nie stało na wę-

drowanie w świat. Inni poszli. Dużo ich szło. Wsie bywały duże, po 15—20 kilometrów długości, a jedna taka dawała ze stu albo i sto pięćdziesiąt rekrutów. Co z tego? Wyludniała się biedna Słowacja, odchodzili daleko, druciarskim się parać rzemiosłem.

Każda kuchnia w Warszawie czekała na nich. Bo to nie tylko spekanie trzeba było leczyć, ale i całe, niekiedy jeszcze garnki, odrutować, umocnić drutem, żeby w największym nawet ogniu nie potrzaskały i nie pogubiły strawy, co się w nich warzy. Druciarskie rzemiosło potrzebne było garnkom, jako że żelaznych garnków wtenczas nie było, samo tylko kamienne i gliniane, co potrzebowały drucianego wsparcia. Odrutowywał je Słowak biegle a ściśle wokół i ode dna mocnym drutem, w kratkę zaplatając — dociskając gęsto. Dopiero za czasów żelaznych rondli druciarsstwo wyszło z mody. Żeby więc nie utracić klientów i zarobków, przeszli Słowacy na blacharstwo, kotlarstwo, na pobielanie. Drut się skończył, zaczęła się cyna. Poniekąd tylko, jak wprzód, z drutem mieli do czynienia, ale już tylko na pułapki, klateczki, co jak były z drutu, tak są, bo nikt jeszcze nie wymyślił lepszych niż druciane. Ale najlepsze druciarskie czasy, to były czasy drucianych garnków. Wtedy druciara, zwany też drutarzem, lub po prostu górale — znany był dobrze całej Warszawie. Choćby drutu nie niósł, ani słowa nie wymówił — poznawało się go snadnie po długich włosach i wąsikach, po minie szczerzej i pogodniej i po czarnym kapełusku, nie mówiąc już nic o portkach obcisłych i tykowych kierzcach. Pokolenie po pokoleniu znało ich tutaj, dobrze spoufalonych z warszawską ulicą, cały kraj oswoił się przez lata z ich widokiem tak mocno, że ich do ludowej szopki wprowadził i skakać im i śpiewać kazał w jasełkach wraz z Herodem, Cyganem, Żydem i kominiarzem. Nie mały to zaszczyt do szopki trafić i w jasełkach zamieszkać na wieki! Skakała więc figurynka „druciarszyna” w szopce, płała i taką śpiewkę śpiewała:

„Ja biedny druciarszyna, poszedłem w świat szeroki, ponosiłem trudy, słoty. Zarobiłem kilkadziesiąt złotych dla mojej biednej matki”.

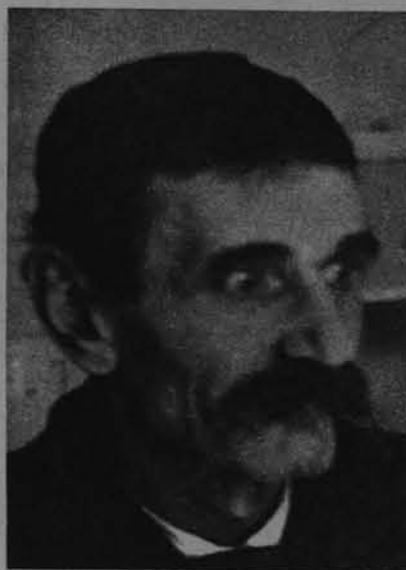
To też nikt druciarszynie z szerokiego świata nie był krzyw i każdy się do niego uśmiechnął, prosząc, żeby garnek drutem „upewnił” albo rondel miedziany pobielili...

Wraz ze schyłkiem druciarsstwa, ustępującego miejsca blacharstwu i kotlarstwu, gospod druciarskich w Warszawie było coraz mniej, ale jeszcze gdzieś się trzymały. Starszy uczył fachu młodszych, a tyle zręczności i lekkości mieli w palcach, że jajko by odrutować mogli, a skrupka nie zarysowałaby się nawet.

Mowa obca nie sprawiała im wielkich kłopotów, bo nie ma chyba na świecie tak bliźniaczo podobnych języków, jak nasz i słowacki — i bez nauki dogadać się można i bez tłumacza.

Byli wśród słowackich przybyszów czarni, orlonosy, byli też jaśniuteńcy, jak na Słowian przystało. Byli druciarze, byli też przekupnie „Węgrami” zwani.

Z Warszawy, z „ichniej” centrali, rozchodzili się jak i druciarze, po całym kraju, a nawet dalej. Wózkami



w konika jednego docierali aż w Ki-jowskie i około 1900 roku przyjeżdżali do Górczakowa, gdzie mieszkali moi dziadkowie i siedmioletni wówczas mój ojciec. Przeważnie wieźli dwie „łuby” czyli „krótki”, pełne najrozmaitszych skarbów — od tasemek, guzików i wstążeczek począwszy, poprzez gwoździe, nożyczki, szczyrki, olejki, pachnidła, aż na książki i kalendarz skończywszy, nie mówiąc o nieprzystojnych obrazkach, które też miewały w „łubie” swój kącik. Wielkie to były łuby, a w każdej, jak szuflady w komodzie, mieściły się tekturowe teki — przegrody. Istny dom towarowy, uniwersalny magazyn, tyle tylko, że towarów nie brakowało i po piętrach nie trzeba było ganiać z wywieszonym językiem. A towar różnoraki w dobrym był gatunku, tak że w Górczakowie zbiegali się domownicy i z kuchni i ze stajni i stróż nocny przychodził nadziwować się nad „łubami”, a może i coś kupić czasami...

Niektórzy z owych „Węgrów” nie jeździli wózkami ale wędrowali po wsiach i miasteczkach ze swoimi łubami na barkach. I wszędzie i zawsze, skoro się tylko zjawili, święto było, zbiegowisko i radość wielka. Każdy coś dla siebie znalazł. Szelki, jakich nigdzie indziej nie było; guziki niciane do bielizny, których nie znalazłbyś, choćbyś całe życie szukał; bransoletki dla dzieci z kolorowych paciorków na gumce. A już specjalnością przenośnych kramów owych „Węgrów” były cukierki słazowo-miodowe od kaszlu w tabliczkach do łamania, jak czekolada dziś bywa. I druga ich specjalność to kadzidło w papierkach do palenia, dla pięknego zapachu.

Widać opłacały się słowackim handlarzom trudy i dalekie wędrowki, bo niektórzy z nich dorobili się i rzucali wędrowanie dla jakiegoś stałego interesu w Warszawie — wytwórni czy sklepu.

Było ich wielu: Prachniar, z dawna już nieboszczyk, Czuboń... Na rogu Orlej i Leszna dom handlowy mieli bracia Orszak; w Alejach Jerozolimskich Okular miał restaurację; Buchcar — zakład fotograficzny, który po-

tem synowie prowadzili. Ale on sam, stary, pobierał garnki aż do samej śmierci, choć i własny interes fotograficzny prowadził...

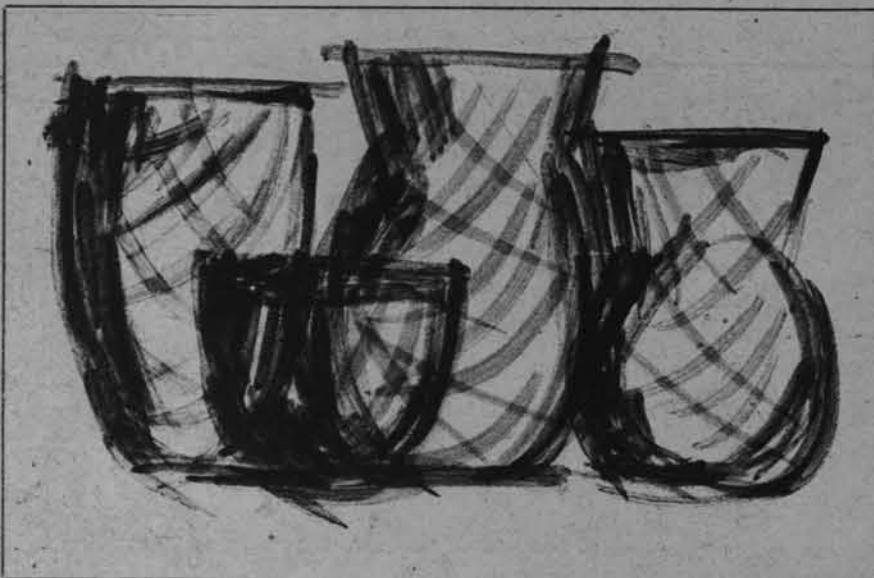
Ondraszek dwanaście lat w swojej Wysokiej przebył, do szkoły pochodził, gdzie musowo, prócz słowackiej mowy i pisma, węgierskiego madziarskiego uczyli...

Z duszą na ramieniu przyjechał do Warszawy, gdzie go czekała tęsknota za swoimi, no i praca potrójna. Miał się bowiem uczyć trzech rzeczy naraz: druciarsstwa, polskiej mowy, której dotąd nie zakosztował, — i Warszawy, w której nie trudno obcemu pobłądzić. Dobrze, że nie było samotności, bo słowackich druciarzy było w owe czasy ze czterystu, albo pięciuset, jeśli nie więcej, w samej Warszawie. Często się ich spotykało na swojej drodze, a wtedy od razu razniej się robiło młodemu, że nie sam jest w tej warszawskiej obczyźnie. „Pieknje witam” — witał Słowak Słowaka po swojemu. Pogadali, podzielili się ze sobą wieściami z Warszawy i z dalekiego domu, po czym szli, każdy w swoją stronę, nie zapominawszy rzecz na odchodnym: „Ostań z Bohem”.

Nielekkie było życie pod majstrem, co się gazdą zwał. Tak już było ustanowione u Słowaków warszawskich, że majster trzymał pięciu, czy dziesięciu chłopaków, którzy po podwórkach się rozchodzili, a potem wracali do swojej stancji naprawiać, co do naprawy wzięli. Trzy lata służyło się majstrowi prawie że za nic, ot, za tę miskę nie najlepszej strawy. Zwykle kupił gazda głowizny, nagotował garnek z osem na barszcz. Musiało na dwa dni dla chłopaków starczyć. Dobrze, że za takie całe trzy lata pięćdziesiąt rubli zapłacił chłopakowi.

Nie najlepsze były pierwsze kroki Ondraszka w Warszawie. Wziął go do siebie majster Palko. Przez pierwsze dwa tygodnie chłopak nie chodził sam, ale ze starszym, co go dróg uczył i rzemiosła. Przypatrywał się temu, co robił jego przewodnik i opiekun. I tak, popatrując, obuczył się, jak to z tym drutowaniem dawać sobie radę, tak że rychło przyszedł czas, kiedy to tamten starszy siał, a Ondraszek sam już brał się do roboty. Staral się przy tym Warszawę jak najlepiej zapamiętać sobie, choć nie zawsze trafiał odrazu, gdzie trzeba i czasem pobłądził w mieście, jakby w lesie jakim... Jednego razu znalazł się w Saskim Ogrodzie i nijak stamtąd wydostać się nie mógł do siebie, to znaczy do majstra. Wiedział tylko, jak iść od Hali Mirowskiej. Ale jak dojść do niej?... Próbował to tędy, to owędy — i wciąż nie tak. Wyszedł na Żabią — Hali nie widać, wyszedł na Kościół Ewangelicki — też ani widu. Dopiero za którymś tam razem trafił na Halę, a stamtąd to już mu droga była wiadoma.

Prędko się Ondraszek do Warszawy przyzwyczaił. Wszystkie zarobione przez siebie pieniądze majstrowi oddawał, jak i inni, musowo. Niechby tylko spróbował wziąć coś dla siebie!... A majster tyle, że dach nad głową dał i odzienie — pozał się Boże! — z Wolówki, no i tego chleba z barszczem... czasem tylko, jak się dobrze trafiło, to po oddaniu roboty, kucharka jeść dała chłopakowi w kuchni, albo i co wzięć do zjedzenia pozwoliła. Domy druciarskie były rozrzucone po rozmaitych miejscach i przedmieściach, ale najgęściej ich było w żydowskiej dzielnicy: na Pawiej, na Chłodnej, na Twardej. Robota nadarzała się wszędzie, w całej Warszawie, a jak się zbliżała żydowska wielkanoc, to pracy było zaatręszenie: brytwanki, patelnie, a wszystkiego co niemiar! Biegało się po piętrach. „Chocz cze-no! Chocz cze-no!”, wołały Żydówki, co chciały sobie statki kuchenne wyrzucić na święta. Brało się wtedy na siebie całe pęki garnków, czy patelni i ro-



boła trwała noc po nocy bez przestanku — i tak nieraz trzy tygodnie trzeba było robić, nie odetchnawszy. Sen wlaził do głowy i trzeba go było siłą wyganiać, a przecież za dnia chodziło się po mieście.

Po trzech latach majster lepiej płacił nieco, ale trzeba było aż pięciu lat, żeby Ondrej przeszedł już na swoje...

Tęskno było Ondraszcowi za Słowacją, za rodziną. Po trzech latach praktyki druciarskiej pojechał odwiedzić ojcowiznę i bliskich, których zostawić musiał tak daleko. Wrócił znowu i znowu pojechał w wojsku służyć. A potem — znów go przyciągnęły warszawskie podwórka. Chodził ze zwojami drutu na ramieniu, białego, czarnego i miedzianego i brał do roboty wszystko, co się w jego wędrowaniu po mieście nadarzyło. Trudna robota była z samowarami, bo to nie tylko trzeba naprawić, ale i wypolerować do blasku, w każdziutkim zgięciu, żeby lśnił się, jakby był ze złota. Raniutko od piątej do siódmej trwała praca, potem krążenie po domach i znów wieczorem — do roboty. Czasem i wieczorem siedł, robotę odnosił. Latarnie na ulicach ledwo-ledwo prószły światłem, bo choć gazowe były, ale bez tych koszulek, co później nastąpiły i uchwalały się jeszcze w Warszawie tu i ówdzie do dziś. Wieczorem i rano chodził taki latarnik z haczykiem i zapalał je i gasił. Ondrej znał tych latarników, bo jako domokrażny rzemieślnik znał właśnie ludzi, co się z ulicą swoim fachim wiązało. Tak, tych ulicznych rozmaitych znał najlepiej, no i kucharzy, czy służbę hotelową, co mu robotę dawali. Bywało, że z takiego hotelu parędziesiąt samowarów do remontu na raz dawali. — Z każdego numeru po jednym. Jaka to była herbata z takich samowarów! Pyszna. Nie to, co teraz, z emaliowanego, czy aluminiowego czajnika. Z miedzi najlepsza...

Krażył Ondrej Knażek po tamtej, dawnej Warszawie, co rogatki miała przy Zamoyskiego róg Wolskiej, przy Alejach Jerozolimskich róg Towarowej, przy dzisiejszym Placu Unii Lubelskiej. Tramwaje konne jeździły w jednego konia, albo w parę koni zaprzężone, woźnica tramwajowy ręcznym dzwonkiem podzwaniał. Najtaniej można się było przejechać na przednim pomoście, bo tylko za 3 kopiejki, a już na tylnym — 5 kosztowało, tyle, co na twardym siedzeniu. Najdrożej było na miękkiej ławce, bo aż 7 kopiejek, to znaczy więcej niż się płaciło za cały bochenek chleba! Poszły później, w jakimś 1908 roku te konne tramwaje gdzieś do Wołmina, na letniaki, a w Warszawie elektryczne ruszyły.

Czasem się z cygańskimi kotlarzami spotykali słowaccy druciarze na swoich warszawskich drogach, ale nie bali się ich konkurencji. Mieli swoich stałych klientów, a Cygana wiatr ze świata przynosił i wiatr gdzieś sprzątał bez śladu.

Na Chłodnej pod 46-tym zaczął Ondrej pracować już bez majstra. Dwadzieścia lat tam przemieszkiał, tam się po pierwszej wojnie ożenił z przemiłą dziewczyną z lubelskiego rodem, która właśnie dopiero co pod Warszawę przeniosła się z rodziną...

W czasie pierwszej wojny na Syberię Ondreja wywieźli i dopiero po sześciu latach, w 20-tym roku do Warszawy wrócił, zawadziwszy w drodze o swoje słowackie strony. Z druciarszami w koleżeństwie zażyłym był zawsze, a nawet z sitarzami domokrażnymi, z przetacznikami — w najlepszej zgodzie, choć to już byli inni ludzie, tutejsi, nie przybyłe ze świata. I tak rok po roku, niepostrzeżenie 56 lat upłynęło, odkąd do Warszawy przybył. Już dziś zaledwie sześciu Słowaków w Warszawie zostało. Spotykają się, starszankowie już, aby wspominać swoje słowackie lata, dawne, dzieciństwo na własnej ziemi. A mimo, że tyle lat upłynęło od ich przybycia tutaj, zawsze rozmawiają między sobą tylko po słowacku i tamtejsze dawne piosenki pośpiewują.

Przychodzi do Knażka Grzegorz Gazik, co już 75 lat żyje na świecie, a z tego siedemnastu na Słowacji, a dalsze 58, od 1900 roku aż do dziś

— w Warszawie. Gawędzą sobie po słowacku, a czasem pan Andrzej, bo już z Ondreja Andrzejem się stał, zanuci pod długim sumiastym wąsem ojczytą swoją piosenkę:

Prez horu chodniczek
preceka rybniczek,
po nim se prehodi
szwarny szuhaiczek.
Prehodi, prehodi,
ale už ne budie...

I obaj wspominają odległe lata, kiedy byli jeszcze na ziemi ojców swoich „szwarnymi szuhaiczkami”...

...To i owo jeszcze się robi i wspomina niezliczone roboty, jakich się w długim życiu dokonało. A to siatki, a to trzepaczki do bicia piany, pułapki, wiaderka, garnki... Albo jak się denka blaszane pod kamienny garnek dawało, kiedy to jeszcze gotowali ludzie w kamiennych. Tarki, brytwanki się sprzedawało, zachwalało się po podwórkach — i jakiś zbyt na to bywał zawsze. A jak się trafiła bieda, to jeden drugiemu dopomógł, wsparł, czy pożyczyl...

Zdarzało się, że całe rodziny pracowały w tym fachu. Na Nowym Świecie Horczyzak miał pięciu synów i robotników a wszyscy pracowali — dla cukierni formy robili, takie tam różne od strojenia tortów, karbowane formy do babek... A i takim w pojedynkę chodzącemu, jak Ondrej, też roboty nie brakło: a to ruszta dla ambasady, a to dla Belwederu, a to dla resursy kupieckiej a to dla hrabiów nawet rozmaitych... Oprócz ludzi domokrażnych najlepiej się znało kucharzy w całej Warszawie, bo od nich robota szła. I dziś podobnie. Jak kilka lat temu kucharz ze Związku Literatów na Krakowskim przyszedł kotły zamówić — dotąd współpraca nie ustała, choć już Ondrej rzadko wychodzi z domu. Jednak przyznać trzeba, że w domokrażnej pracy wytrwał długo, bo aż do wojny, do 1939 roku. W powstaniu naginęło druciarzy Słowaków. Majster Palko stary też od bomb zginął.

Jakże się nie przywiązać do Warszawy przez tyle, tyle lat! I jakże zapomnieć Słowację! Nie można zapomnieć. To też niewielu słowackich druciarzy pochowano na warszawskich cmentarzach. Jak już im starość zająrzała w oczy, ruszali, nie raz po pół wieku, w powrotną drogę, aby dokończyć życia na ojcowiznie i pochówek mieć w słowackiej ziemi. Każdy z nich przecież, i z tych sześciu, co do dziś są w Warszawie, czuje się warszawiakiem, ale i Słowakiem zarazem...

Ondrej dopiero w 1948 roku, a więc po czterdziestu sześciu latach warszawskiej pracy, z uwagi na dzieci swoje, obywatelstwo polskie przyjął, bo dotychczas, przez pół wieku prawie, był na paszporcie i za obcego się liczył.

Już to szóstka warszawska ostatnich naszych Słowaków pewno ziemi swojej nie zobaczy. Ale i to pewne, że do końca dni swoich żaden z nich nie przestanie tęsknić...

...Warszawskich wspomnień przez lata nagromadziło się nie mało. Miło wspomnieć dawne druciarskie zabawy, co często na Ogrodowej bywały. Z dziesięciu chłopaków składało po rublu, albo i po dwa, kupowali antałek piwa i zakąski, a muzykanci byli swoi. Zabawa taka ciągnęła się nie raz przez dwa dni i dwie noce, a nigdy żadnej bijatyki jak to u innych się zdarza, nie bywało. Panny na zmianę przychodziły, młode służące, kucharki i tańcowało się z nimi, z bufetowymi, z wędliniarkami... starsi też przychodzili i grali sobie w karty w „duraka”. A jak się który z chłopaków ożenił, to go koledzy pasem wyłoił — na szczęście! Na niedziele też schodzili się na karty i do dziś jeszcze starszankowie w „mariaza” gruwają sobie wieczorkiem od czasu do czasu.

Dawno minęły te czasy, kiedy Ondraszek kłopoty miał z polską mową. Dziś mówi jak warszawiak rodowity. Tylko — zwierza się — w pisaniu jeszcze I krótkie z J czasem myli, po słowacku, z nawyku.

JERZY FICOWSKI

Niszczący
zbór ewan-
gelicki w Lip-
kach (pow.
Brzeg), po-
chodzący z
1668 r. Fot.
K. Kwaśnie-
wski.

U dołu: nie-
istniejący już
kościółek św.
Piotra z roku
1728, w Białogardzie. Fot.
M. Kornecki
1950 r.



W OBRONIE SZACHULCOWYCH BUDOWLI

W notatce nadesłanej do redakcji „Ziemi” pisze p. Krzysztof Kwaśniewski z Wrocławia: „O ile wiem, nikt nie zainteresował się dotąd losem pięknych, starych zborów ewangelickich na Ziemiach Zachodnich. Niektóre z nich odbudowuje się wprawdzie (np. we wsi Gać, pow. oławski), — ale inne już rozebrano, a większość niszczy, jak np. zbór w Lipkach, pow. brzeski. Duża ta budowla o konstrukcji ryglowej ma całe ściany wylepione z gliny, a pochodzi z roku 1668. W zabytku tym zwraca uwagę nie tylko misterne belkowanie konstrukcji dachu i wieży, ale i ciekawe zdobnictwo ścian wewnątrz: zapewne dałoby się tu odszukać ciekawe elementy rodzimego zdobnictwa ludowego”.

O zagrożonym kościele szachulcowym w Wierzbicy Dolnej pod Kluczborkiem pisał już w „Ziemi” Tadeusz Chrzanowski.

Jesteśmy również zdania, iż nastał już najwyższy czas aby objąć

aktywną ochroną zachowane jeszcze tu i ówdzie dawne budownictwo szachulcowe, którego dewastacja postępuje w szybkim tempie. O ile nam wiadomo, za- bytkom tego typu poświęcono dotychczas minimum uwagi, a na pewno jeszcze mniej wysiłku remontowego. Wspomniany np. zbór we wsi Gać tylko dlatego objęto odbudową, iż posiada on gotyckie prezbiterium ceglane, cenny za- bytek architektury średniowiecznej.

Nasi współpracownicy wędrując po Ziemiach Zachodnich w wielu miejscowościach nie napotkali już ostatnio szeregu wartościowych budowli szachulcowych, istniejących jeszcze niedawno. Przykładem niech będzie kościółek św. Piotra w Białogardzie (woj. koszaliński), pochodzący z r. 1728 (patrz zdjęcie z r. 1950) — który doszczętnie nie tak dawno zburzono.

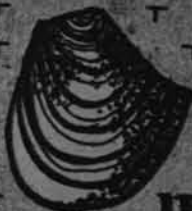
Do tematu tego jeszcze powrócimy. (mk)



CZŁOWIEK WSPÓŁCZESNY
CZŁOWIEK PIERWOTNY

13

12



3



2

1

PIASKOWCE

WAPIENIE
PIASZCZYSTE

MARALE

WAPIENIE

ZLEMEŃCE

MARALE
KRZEMIENISTE

POFIE

KENOZOIK

KREDA

JURA

TRIAS

K

I

O

Z

O

Z

E

M

PALEOZOIK

SKAMIELINY

ANDRZEJ RADOMSKI

Zdarzało się każdemu spotkać na wycieczkach skamieliny—utrwalone w skale resztki zwierząt czy roślin. W niektórych, już na pierwszy rzut oka rozpoznajemy znane grupy zwierzęce, takie jak małże, ślimaki, ryby. Inne są nam obce. Wszystkie zaś mówią o warunkach tworzenia się skał, w których się obecnie znajdują.

Jeżeli spotykamy np. formę, która obecnie żyje w wodach słonych, nasuwa się odrazu przypuszczenie, że kiedyś w tym miejscu rozciągało się morze. Ten oczywisty i najprostszy pogląd znany był już w starożytności. Herodot, opisując swoje podróże po Pustyni Libijskiej, na podstawie znajdujących tam skamieniałości przypuszcza, że w bardzo odległych czasach stanowiła ona dno morskie. Niestety w średniowieczu, kiedy wszystkie teorie naginane były do oficjalnej doktryny, pogląd ten był nie do przyjęcia. A kiedy w r. 1500 Leonardo da Vinci znalazł podczas nadzorowania budowy jakiegoś kanału skorupy małży morskich i wyraził przypuszczenie o obecności morza na tym obszarze, rozgorzał 2 wieki trwający spór o pochodzenie i naturę skamieniałości.

W skamielinach widziano *lusus naturae* (igraszki przyrody) uformowane przez przypadek w kształty podobne do zwierzątek. Dopatrywano się w nich przejawów *vis vitalis* (siły życia), która pozwoliła zagubionym nasionom względnie zarodkom rozwinąć się w skale w dorosłe zwierzę czy roślinę (!). Do jakiego stopnia przekonanie o niezmienności konfiguracji lądów i mórz było zakorzenione w umysłach ówczesnej epoki świadczy pogląd Woltera, który w jednej ze swoich *Powiastek filozoficznych* skłonny jest raczej uwierzyć w to, że muszle znajdujące na przełęczy św. Bernarda w Alpach (2472 m n.p.m.) zostały zgubione przez średniowiecznych pielgrzymów wracających z Ziemi Świętej, niż dopuścić przypuszczenie, że opadły na dno morza, które kiedyś tutaj się rozciągało.

Kiedy nieodparte dowody przekonały nawet największych niedowiarów, że mamy w przypadku skamielin rzeczywiste szczątki zwierzęce, próbowano je odnosić do czasów „przedpotopowych” i uważać za resztki zaginionych podczas biblijnego potopu stworów.

W roku 1726 ukazała się książka, w której zostały opisane kości... ludzi zatopionych przez wzbierające fale potopu. Potem okazało się, że „*Homo diluvii tristic testis*” („człowiek przedpotopowego smutne szczątki”) są resztkami dużej, wymarłej obecnie jaszczurki, która otrzymała naukową nazwę *Andrias scheuchzeri* na cześć swego odkrywcy. Są i smutne karty w historii paleontologii, nauki o wymarłych gatunkach zwierząt i roślin. Badacze z XVII i XVIII wieku, kiedy to istota skamielin nie była jeszcze dostatecznie wyjaśniona; nie zawsze posiadali wystarczającą dozę krytycyzmu. Jednemu z nich, Johannowi Berlingerowi własni jego studenci wypłatali niezwykle złożonego figla. Podczas wycieczek podrzucali mu wycinane przez siebie w kamieniu przeróżne stwory które profesor ów z wielką skwapliwością zbierał. Potem opisał je w pracy pt. *Litographia wirzenbergensis*, która miała być uwieńczeniem jego działalności naukowej. Już po jej wydrukowaniu niefortunny badacz znalazł „skamielinę” z wyrytym na niej swoim nazwiskiem. Mistyfikacja wyszła na jaw. Nieszczęśliwy autor wykupił



Amonit *Macrocephalites* z jury środkowej.



Ramienionóg *Rhynchonella* z jury górnej.



Amonit *Perysphinctes* z jury górnej.



Malinoceras z kredy.

cały nakład swego dzieła tracąc na tym majątek. Złamany wycofał się z życia naukowego i zmarł w skrajnej nędzy.

W XIX wieku zwyciężył ostatecznie pogląd właściwie interpretujący szczątki zwierzęce znajdujące w skałach i w ten sposób nauka otrzymała nową metodę badania przeszłości skorupy ziemskiej.

Wtedy zdumionym oczom badaczy ukazał się świat zupełnie różny od dzisiejszego. Okazało się, że skuta lodami Grenlandia była kiedyś gorącym tropikalnym lądem porośniętym gęstą dżunglą, na miejscu Alp szumiało morze itd. Przykładów można mnożyć bez liku.

Spróbujmy odczytać króciutki fragment dziejów geologicznych małego skrawka skorupy ziemskiej w okolicach Krakowa.

Historia nasza zaczyna się przed około 140 mil. lat, w momencie kiedy w te strony dotarł wielki zalew morski. Zalew ów postępując od zachodu pogrążył pod wodą znaczną część Europy zachodniej i teraz zaczynał ogarniać ziemię Polski. We wzgórzu Czerwieniec, niedaleko od Krakowa na południe od drogi z Tenczynka do wsi Frywałdu znajdziemy najprawdziwszą plażę morską pochodzącą z tego okresu.

W starych wykopach występują tu gruboziarniste piaski przemieszane z ławicami żwirów. Znajdowane w żwirach otoczki kwarcu posiadają różną wielkość i są zwykle dobrze zaokrąglone. Bardzo charakterystyczne jest ułożenie warstw w tych piaskach, szczególnie w ich najniższej części. Warstwy te pochylają się pod różnymi kątami. Taki właśnie układ ławic spotykamy w piaskach plażowych dzisiejszych mórz. W tym samym wykopie nad piaskami leżą poziomo ułożone warstwy piaszczystych wapieni o charakterystycznym rdzawym zabarwieniu. W skałe tej znajdujemy liczne skamieniałości. Mówią nam one, że są to osady morskie. Morze nie było głębokie. W wapieniu, przy uważnej obserwacji znajdziemy drobne okrągłe kuleczki wapienne lub żelaziste, tzw. *oolity*. Tworzą się one obecnie np. w płytkich i ciepłych morzach u wschodnich wybrzeży Afryki. Obecność sporej ilości ziarn kwarcu, też przemawia za tym, że brzeg odsunął się wprawdzie ale musiał znajdować się niezbyt daleko. I rzeczywiście: spotykamy go w starym kamieniołomie odległym 0,3 km od miejsca w którym się znajdujemy.

U podstawy ściany kamieniołomu obserwujemy czerwoną twardą skałę wulkaniczną — porfir. Powierzchnię ma nierówną, jest silnie spękana. Nad nią występują wapienie piaszczyste podobne do tych o których mówiliśmy na wzgórzu Czerwieniec. Spotykamy w nich, w dużej ilości okruchy, a nawet metrowej wielkości bloki porfiru. Pochodzenie ich nie nastęrcza



Amonit *Parkinsonia* sp. z jury, fot. Muzeum Ziemi, Warszawa.

geologowi wątpliwości. Jest to stromy brzeg morski tzw. klif. Brzeg wyspy, czy może nawet jakiegoś większego lądu, kruszyła kipiela morską. Odrywane od brzegu bloki wpadały do morza. Niektóre z nich zostały nieruszone na miejscu. Uważny obserwator znajdzie w szczelinach spękań porfiru lub na luźnych blokach przytwierdzone o grubej skorupie małże. Znajdują się one w takim położeniu jakie zajmowały za życia. Podobne tego rodzaju małże żyją w podobnych warunkach i na dzisiejszych wybrzeżach mórz. W wapieniach piaszczystych znajdujemy liczne skamieniałości. Do najbardziej charakterystycznych należą różne gatunki amonitów. Na pewno znajdziemy tu grubą pękatą formę *Macrocephalites*. Amonity są grupą dziś już zupełnie wymarłą. Posiadały one skorupę zbudowaną z węglanu wapnia, zwiniętą spiralnie w jednej płaszczyźnie. Po tym najłatwiej je odróżnić od podobnych ale zazwyczaj spiralnie zwiniętych skorup ślimaków. Skorupa podzielona była na szereg komór. W ostatniej z nich żyło zwierzę. Amonity były bądź zwierzętami przydennymi, bądź pływały swobodnie, poruszając się na zasadzie podobnej jak dziś pojazdy odrzutowe. Wodę pochłoniętą przez otwór głębowy wyrzucały ze znaczną siłą przez specjalną rurkę umieszczoną

przy otworze głębowym ku przodowi. Zwierzę posuwało się w ten sposób skokami do tyłu. Prócz amonitów znajdziemy w tych warstwach skorupy licznych małży i ślimaków. Okres skamieliny w którym tworzyły się te skały, nosi nazwę środkowej jury.

Nad utworami środkowej jury występują najpierw warstwy ilasto-margliste a potem pojawiają się białe czyste wapienie. Należą one już do jury górnej zwanej również „białą”. W skałach tych znajdziemy spośród amonitów małe, gładkie, wąskie skorupy *Oppelii* i wyraźnie żebrowane z ostrym grzebieniem skorupy *Cardiocerasów*. Pospolite są również duże, z wyraźnymi poprzecznymi żebrami, które rozdwajają się przechodząc na drugą stronę skorupy, *Perysphincty*. Są to osady morza nie bardzo głębokiego ale dość rozległego. W wapieniach nie znajdziemy ziarn piasku. Są to czyste muły wapienne pochodzące ze zniszczenia wapiennych skorup zwierząt żyjących w morzu. W tym okresie już nie tylko okolice Krakowa, ale i cała Polska znalazła się pod falami morza.

Z końcem okresu jurajskiego morze opuściło obszar Polski by znów powrócić w następnym okresie kredowym. I wtedy znów okrąg krakowski razem z całą Polską znalazł się pod wodą. W skałach pochodzących z tego

okresu znajdziemy wydłużone wapienne cygara, zwane przez ludność miejscową często „piorunowymi strzałkami”, będącymi szkieletami *Belemnitów*, dalekich kuzynów dzisiejszych kałamarnic. Niektóre gatunki *Belemnitów* żyły już w okresie jurajskim. Widzimy tu jajowate skorupy jeżowców, zwierząt należących do gromady szkarłupni. Często też spotykamy małże z grupy *Inoceramus* łatwe do rozpoznania dzięki koncentrycznym żebróm na skorupie.

W ciągu blisko pół miliarda lat trwającej historii życia na ziemi jak w kalejdoskopie pojawiały się i ginęły coraz to nowe gatunki i rodzaje zwierząt. Zmieniała się konfiguracja lądów i mórz. Zarówno dzisiejsza budowa skorupy ziemskiej jak i świat organiczny jest wynikiem długotrwałej ewolucji — ewolucji która ciągle postępuje dalej.



Jeżowiec *Ananchytes* z kredy.

TOMASZ CHLUDZIŃSKI KOŚCIÓŁ W MOKOBODACH



Mokobody, dawniej zwane Mąkobody albo Mąkowody, niewielka osada miejska koło Siedlec, była niegdyś wsią królewską na Podlasiu. W roku 1487 Kazimierz Jagiellończyk darował ją Janowi Litaworowi Chreptowiczowi, podskarbiemu litewskiemu. Ten w roku 1496 uzyskał dla Mokobód prawa miejskie od króla Aleksandra. Zygmunt Stary potwierdził przywileje i pozwolił zmienić nazwę na Nowe Miasto, która się jednak nie przyjęła. Już w XV wieku istniała tu parafia, a w roku 1513 postawiono nowy kościół. Po pożarze świątyni Jan Onufry Ossoliński, starosta drohiczyński, rozpoczął w 1792 r. budowę nowego, murowanego kościoła.

Rok wcześniej sejm uchwalil wzniesienie w Warszawie na pamiątkę uchwalenia Konstytucji 3 Maja kościoła — votum Opatrzności Boskiej. Miał on stanąć na terenie Ujazdowa, gdzie już w roku 1775 Stanisław August planował wzniesienie okazałej świątyni zamiast skromnej drewnianej przy Belwederze.

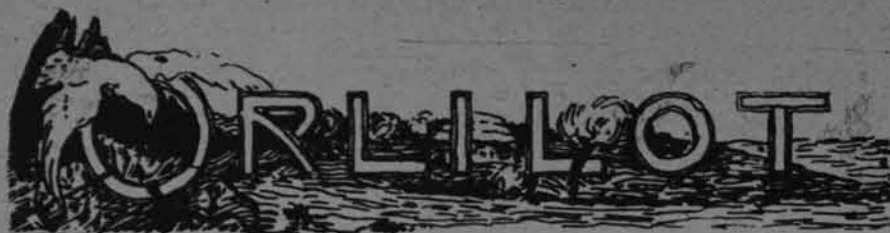
Plan świątyni-pomnika działczynnego stał się przedmiotem pierwszego w Polsce konkursu artystycznego. Stanęli do niego architekci związani z dworem królewskim: Kubicki, Aigner, Kamsetzer, Griesmeyer, architekt z Wilna Gucewicz, malarz Smuglewicz, amator Ogiński, a nawet poseł francuski w Konstantynopolu, Choiseul-Gouffier, który nadesłał plan wzorowany na ateńskim Partenonie.

Akceptację króla uzyskał projekt Jakuba Kubickiego. Wkrótce posypały się z całej Polski ofiary na budowę kościoła. Niestety, wypadki polityczne uniemożliwiły budowę: zdołano tylko splantować wzgórze i wznieść ceglany pomnik, stojący do dziś w ogrodzie botanicznym.

Wysiłki architektów nie poszły jednak zupełnie na marne. Jeden z pierwszych kościołów, zbudowanych według nie zrealizowanych planów kościoła-votum, to właśnie klasycystyczna świątynia w Mokobodach. Autorem jej jest Kubicki, który zmniejszył tu swój poprzedni plan kościoła do jednej

czwartej. Budowla, konsekrowana w 1837 roku, jest trzynawowa z transeptem, który z nawą główną i prezbiterium tworzy krzyż grecki. Od frontu (strona południowa) posiada ryzalit zwieńczony trójkątnym szczytem z głęboką wnęką z portalem. Podobny ryzalit znajduje się od północy. Kościół nakrywa dach czterospadowy, z którego wyrasta bęben kopuły z hełmem. Wnętrze — piękne, pełne światła, które wypływa m. in. z ukrytych źródeł w kopule, znajdujących się na skrzyżowaniu nawy i transeptu, oraz lunet w sklepieniach kolebkowych nad bocznymi kaplicami. W ołtarzu głównym zwracają uwagę: obraz „Kazanie na górze”, przypisywany Smuglewiczowi, oraz dwie barokowe figury ewangelistów. W kaplicach znajdują się dwa ołtarze późnobarokowe, a w bocznych nawach ołtarze malowane iluzjonistycznie, również z tego samego okresu. W ołtarzach cenne obrazy, m. in. XVI-wieczny obraz Matki Boskiej z Dzieciątkiem malowany przez Józefa Buchbindera.

DZIAŁ MŁODYCH KRAJOZNAWCÓW



HARCERSTWO SPOD ZNAKU RODŁA

Ponad półtoramilionowa rzesza Polonii niemieckiej jednoczyła się w wspólnej organizacji Związku Polaków w Niemczech. Godłem tej organizacji było „rodło” — stylizowany bieg Wisły z Krakowem, kolebką kultury polskiej i symbolem jedności państwa polskiego. Związek Polaków patronował rozmaitym organizacjom polonijnym: związkowi robotniczemu, towarzystwom szkolnym, organizacjom kobiecym i młodzieżowym. Patronował również polonijnemu harcerstwu. Nie znaczy to jednak wcale by organizacja harcerska rozwijała się w jednakowym stopniu na wszystkich terenach Rzeszy zamieszkałych przez Polaków. Na niektórych obszarach rozwinęło się ona stosunkowo późno. Do nich należały Prusy Wschodnie.

Kiedy 24 czerwca 1931 r. na uroczystość Dnia Dziecka w warmijskiej wsi Gietrzwałd przybyła grupa młodzieży w harcerskich mundurkach, wzbudziła ona wśród zebranych niemalą sensację. W tym czasie bowiem nie było żadnych polskich organizacji harcerskich ani w Warmii, ani na Mazurach i Powiślu. W gietrzwałdzkiej uroczystości obok młodzieży z polskich szkół i przedszkoli brali tylko udział przedstawiciele Związku Towarzystw Młodzieży w Prusach Wschodnich i Związku Polaków. W harcerskich mundurkach wystąpiła grupa młodzieży z polskich szkół w Nowej Kaletce i Nowych Butrynach (pow. Olsztyn). Była to inicjatywa dwu miejscowych przedszkolańek, Otylii Tesznerówny-Grothowej i Anny Kwitówny-Samulowskiej, któ-

re wraz z rodzicami tych dzieci same szyły mundury. Nie były to jednak jeszcze pierwsze drużyny harcerskie na tych ziemiach.

Pierwszy polski zastęp harcerski w Niemczech powstał w Berlinie, w roku 1913. W sześć lat później powstały drużyny harcerskie na Śląsku Opolskim i tam organizacja ta rozrosła się najsilniej. W Prusach Wschodnich po raz pierwszy zetknęła się z harcerstwem grupa młodych kandydatów na nauczycieli z Powiśla i Warmii w roku 1921. Było to w Lubawie, gdzie ludzie ci wstąpili do istniejącej przy seminarium nauczycielskim drużyny harcerskiej. W roku 1924 powstał w Olsztynie pierwszy w Prusach Wschodnich zastęp harcerski staraniem Zbigniewa Pieniężnego. Niestety żywot zastępu był krótkotrwały. W dwa lata później tworzy się w Niemczech polonijny Związek Harcerstwa Polskiego, który swój statut i prawo harcerskie opiera na statucie ZHP w kraju. Przewodniczącym ZHP w Niemczech zostaje J. Kraczek a naczelnikiem Józef Kachel.

W okresie dojścia Hitlera do władzy zaczyna się rozwijać polskie harcerstwo na obszarze Prus Wschodnich: na Powiślu w powiatach malborskim, sztumskim i kwidzińskim i w Warmii, w powiecie olsztyńskim i reszelskim. To właśnie bowiem har-

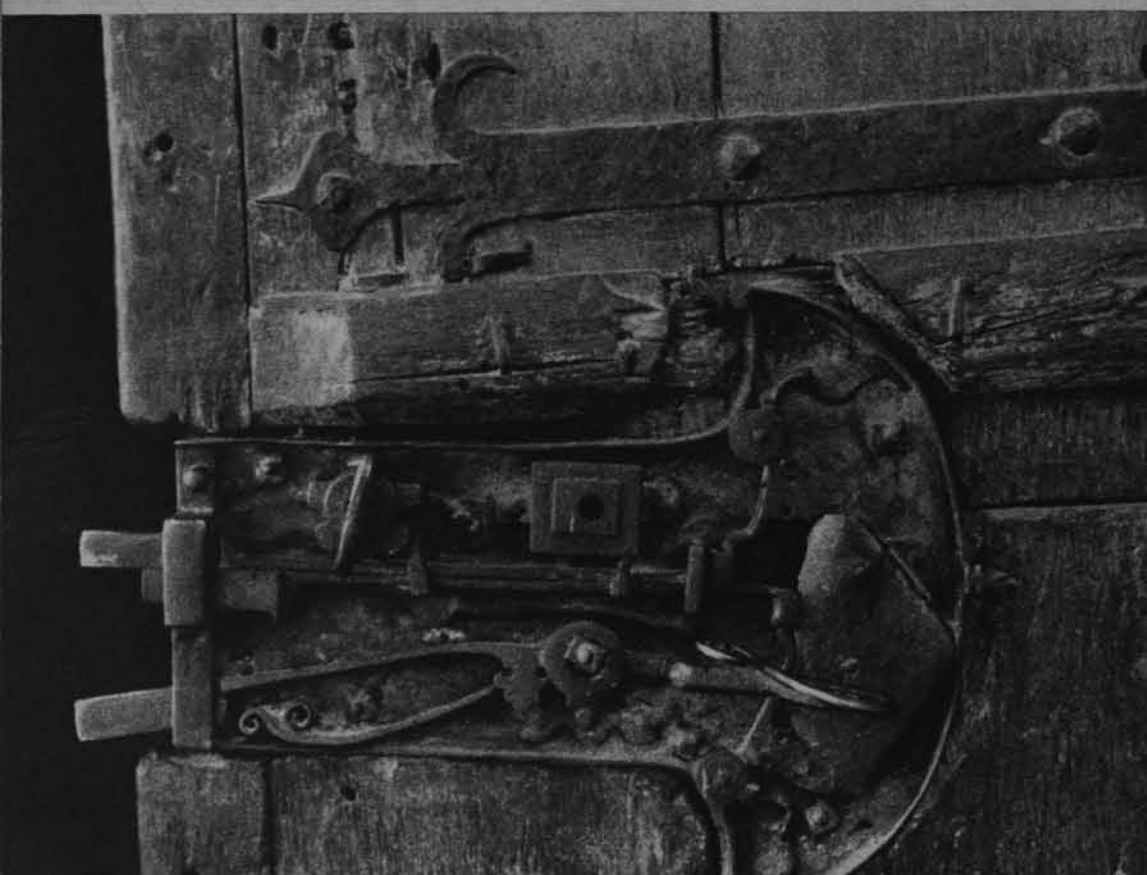
cerstwo było niezwykle ważnym czynnikiem w walce jaką toczyli o wychowanie młodzieży polscy działacze przeciw organizacji Hitlerjugend. To też drużyny harcerskie powstają przeważnie w tych miejscowościach, w których istnieją polskie szkoły i przedszkola. Organizatorami ich a najczęściej i drużynowymi, są nauczyciele i przedszkolańki. I tak więc wiosną 1934 r. przedszkolańka z Nowej Kaletki, Otylia Tesznerówna-Grothowa zakłada w swej wsi drużynę. Twórcą drużyny powstałej w tym samym czasie w sąsiednich Nowych Butrynach (Chabrowie) jest tamtejszy nauczyciel Ryszard Knośa. W przeciwieństwie do organizacji Hitlerjugend otrzymującej pełny ekwipunek od władz państwowych, polscy harcerze i harcerki musiały starać się o wszystko we własnym zakresie. Tak np. mundurki szyły prywatnie, po wsiach. Pewnej pomocy materialnej udzielała wprowadzie polonijna Komenda Główna, przede wszystkim jednakże trzeba było liczyć na własne siły. A jednak mimo tych trudności idea harcerska zaczęła przenikać i do innych wsi Warmii i Powiśla. W Jarontach pod Olsztynem drużyna męska liczy 11 chłopców, żeńska — 8 dziewcząt. W 1935 roku powstaje drużyna w samym Olsztynie.

Młodzież szkolna i nauczyciele z Chabrowa i Nowej Kaletki w dniu Święta Dziecka w Gietrzwałdzie. Rok 1931.

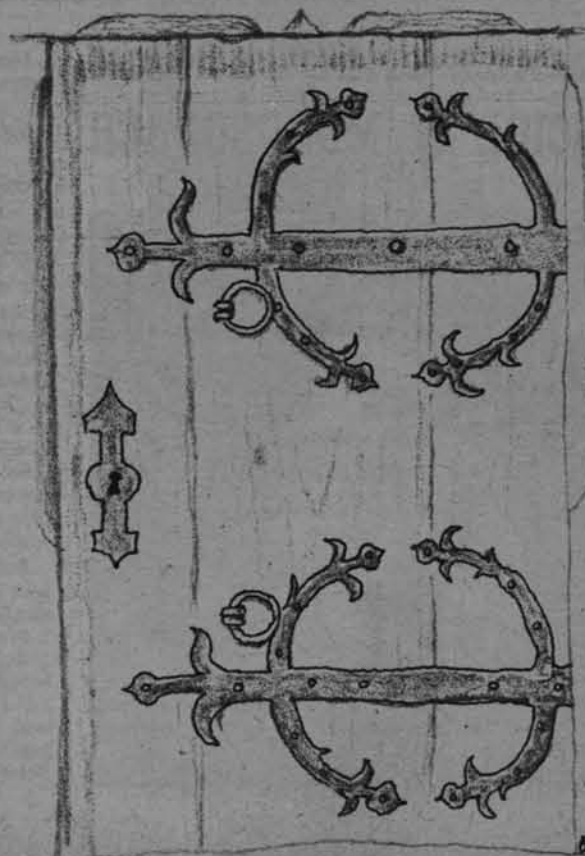


Lilijka ze znakiem rodła, noszona na rękawie harcerskiego mundurka.

GDZIE SZUKAĆ OZDOBNYCH OKUĆ ?



Zamek „pudełkowy” w drzwiach kościoła w Słupawie (pow. Myślenice). Fot. M. Kornecki.



Wrota kościoła we wsi Łopuszna na Podhalu. Rys. J. Bogdanowski.

Drużynami w Jarontach i Olsztynie kieruje Jan Grzywaczewski. Rośnie ilość drużyn harcerskich w warmijskich wioskach. W Brąswaldzie prowadzi istniejącą przy tamtejszej polskiej szkole drużynę nauczyciel Józef Tomke; w Purdzie kieruje drużyną Agata Sendrowska; w Nowej Kaletce — Róża Königsmanówna; w Nowych Butrynach — Jadwiga Gnatowska; w Unieszewie — Helena Polomska; w Worytach — Maria Preylońska; w Pluskach — Otylia Hohmann. W rok później w podolsztyńskiej wsi Skaboży powstaje drużyna im. Stefana Batorego, prowadzona przez Marię Kensbok, a licząca 18 osób. Na Powiślu harcerstwo rozwija się w powiecie sztumskim. W samym Sztumie kieruje drużyną Anna Włodarczykówna, w Waplewie Waleria Wróblewska a w Mikołajkach Pomorskich Nowakówna. Znacznie wzmocnił polonijne harcerstwo na tych ziemiach kurs drużynowych i zastępowych, który zorganizowano w roku 1934 w Tczewie. Brało w nim udział 22 harcerzy z nauczycielami Janem Boenigkem i Janem Jankowskim na czele. Absolwenci kursu zorganizowali następnie drużyny w Nowej Wsi, Podstolinie, Trzcianie i Starym Targu. 10 listopada 1937 r. zostaje otwarte w Kwidzynie polskie gimnazjum męskie, w którym założono kilka drużyn. W drugim i ostatnim zresztą roku istnienia tej szkoły zrzeszonych w drużynach harcerskich było tu 160 chłopców tj. cała młodzież gimnazjalna. Hufcem gimnazjalnym kierował Edmund Różański i harcerstwo odgrywało bardzo poważną rolę w życiu tej szkoły. Drużyny Warmii i Powiśla wchodziły w skład hufca wschodnio-pruskiego, na czele którego stał początkowo Leon Włodarczyk a później Otylia Grothowa.

Władze niemieckie bardzo nieprzychylnym okiem spoglądały na działalność polskiej organizacji harcerskiej w Rzeszy. Już w roku 1937 np. ze względu na opór władz musiało czterokrotnie przenosić polskie obozy harcerskie z jednej miejscowości do drugiej. W roku 1938 Niemcy zakazali noszenia mundurków harcerskich. Na skutek szykan administracyjnych i ekonomicznych malała liczba dzieci w polskich szkołach¹ i drużynach harcerskich. Niektóre z nich przestawały istnieć. Były jednak drużyny, które odbywały zbiórki jeszcze na wiosnę 1939 r. W tym roku władze zakazały urządzania obozów harcerskich.

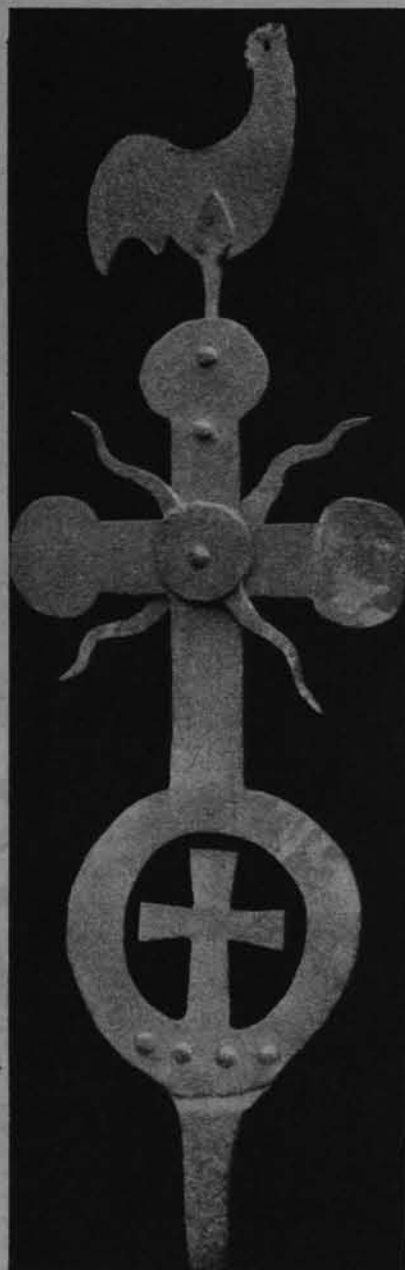
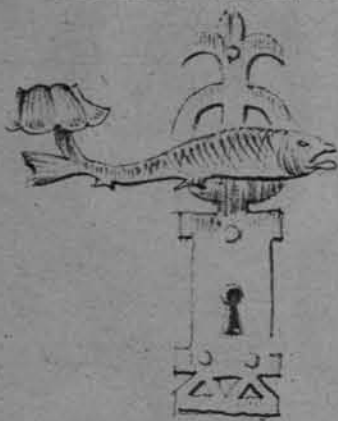
ZYGMUNT LIETZ

¹ Zob. artykuł tegoż autora *Szkolnictwo polskie na Warmii i Mazurach w okresie międzywojennym*. ZIEMIĄ nr 11/57.



Po lewej: klamka mieszczkańskiego domu na rynku w Bochni. Fot. M. Kornecki. U góry: klamka i wykładka wiejskiego kościoła w Wielączy pod Zamościem. Rys. J. Bogdanowski. Poniżej: żelazne zwieńczenie wiejskiego krzyża drewnianego z okolic Kozłówek (pow. Lubartów). U góry po prawej: okucie słupa w wiatraku (Jeziorka, woj. kieleckie). Rys. J. Bogdanowski.

G D Z I E SZUKAĆ OZDOBNYCH O K U C LESZEK DZIEGIEL



Już mija rok od chwili kiedy na łamach ZIEMI otworzyliśmy Dział Młodych Krajoznawców „Orli Lot”. Od tego czasu niemal co miesiąc obok informacji o nowoczesnym sprzęcie turystyczno-campingowym i krótkich wiadomościach kronikarskich zamieszczaliśmy obszerny artykuł traktujący o metodach amatorskich badań odkrywczych.

I tak np. w numerach 9/57 i 1/58 podawaliśmy sposoby inwentaryzowania zabytkowych budowli, w numerze 10/57 znaleźliście przykładowy opis badań ludowego kalfarstwa, a tegoroczny majowy numer ZIEMI omawiał metody prowadzenia zbioru owadów.

Obecnie chciałbym zwrócić uwagę na dość specyficzną dziedzinę ludowego zdobnictwa, w której przy pewnej dozie spostrzegawczości łatwo można dokonać szeregu odkryć. Co ciekawsze, mimo że okazy tego rodzaju zdobnictwa występują na ogół dość pospolicie na każdym kroku — przez wiele lat wymykały się one uwadze nie tylko amatorów-zbieraczy ale i wielu fachowców. Chodzi tu o zabytki ludowego kowalstwa i ślusarstwa, a więc to co w potocznej mowie nazywamy po prostu „okuciami”. W tym jednak wypadku chodzi mi tylko o takie okucia, a także i narzędzia, którym wiejski lub małomiasteczkowy rzemieślnik, nadal świadomie ozdobny kształt, lub które pokrył ornamentem.

Nie będę tu omawiał historycznego aspektu tej gałęzi twórczości ludowej. Częściowo poruszał go już zamieszczony w poprzednim numerze ZIEMI artykuł *W wielkopolskich kuźniach*; zresztą do zagadnień tych powrócimy jeszcze w przyszłości. Pozwolę sobie natomiast udzielić kilku praktycznych porad ewentualnym amatorom ludowego zdobnictwa w metalu.

W zagrodzie

Wkraczając na teren przeciętnej wiejskiej zagrody najwłaściwszym będzie jeśli od razu wejdziemy do chałupy i po wyjaśnieniu gospodarzom celu naszej wizyty poprosimy ich o pozwolenie wykonania rysunków, notatek itp. w obrębie ich obejścia.

Znajdujemy się w budynku mieszkalnym i od niego zaczniemy nasze poszukiwania. Po kolei oglądamy czy przypadkiem drzwi nie posiadają starych ozdobnych osłon zamka, tzw. wykładek. Czy po odwrotnej stronie tafli drzwiowej nie kryją się zawiasy wygięte w misterne „esy”. Czy same deski nie są ponabijane grubymi ćwiekami z których każdy ma na głowce wyciętą dla ozdoby gwiazdkę. Zwiedzając starą chałupę zwróćmy koniecznie uwagę na małe okienka od stajni lub komory. Tkwią w nich zazwyczaj mocne, grube kraty. Niejednokrotnie mają one poodginane na boki zadziory, tworzące ozdobną całość.

W izbach zwracamy uwagę na okucia starych mebli, a przede wszystkim na wykładki, zawiasy i występujące niekiedy boczne okucia skrzyń. Skrzynie, ongiś najbardziej reprezentacyjny chłopski mebel, zdobiło zazwyczaj nie tylko malowidło ale i „paradne” okucie, które przybijano na jarmarkach dopiero w obecności nabywcy. Jeżeli prowadzimy badania na Mazurach, Śląsku, Pomorzu lub w Wielkopolsce, zwróćmy również uwagę na zabytkowe, niekiedy barwnie malowane wiejskie meble. Wiek takich sprzętów na tych obszarach jest z reguły bardzo sędziwy, a ich okucia zdobione z wdziękiem i mistrzostwem. Nic zresztą dziwnego: tego rodzaju meble sprawiali sobie „gburzy” — jak nazywano tam bogatych gospodarzy.

W kuchni rozglądnijmy się za śladami kowalskiego zdobnictwa na domowych narzędziach. Tu i ówdzie uda nam się może znaleźć jeszcze staroświeckie ozdobne uchwyty na łyżczywo. Zdarzało się również, że kowale nadawali ozdobne kształty takim popularnym narzędziom jak siekacz lub że wybijali piękne ornamenty na siekierach.

Dość naogół niewdzięczną dla poszukiwacza grupą są narzędzia gospodarskie, motyki, sierpy, kosy czy

plugi, choć i tu dawniej w niektórych okolicach kowale popisali się zdobniczym kunsztem.

Na targu

Osobną grupę narzędzi gospodarskich stanowią wozy. Na nich to właśnie możemy jeszcze dziś podziwiać artystyczne umiejętności ludowego kowala. Najłatwiej prowadzić badania okuć wozów na wszelkiego rodzaju targach, jarmarkach, odpustach lub... w pobliżu małych, wiejskich stacji kolejowych, na które okoliczni chłopcy zwożą w czasie różnych „kampanii” dziesiątki ton buraków, kartofli czy owoców. Przejdźmy tym hałaśliwym labiryntem wiejskich pojazdów i przypatrzmy się przede wszystkim ich dyszłom. Zobaczymy, że w wielu wozach na stalowych pierścieniach łączących nasadę dyszla z przednimi kołami, widnieją rozmaite ornamenty, najczęściej wybite na pierścieniach za pomocą specjalnego stempla lub zwykłym kowalskim przecinakiem. W niektórych okolicach po dziś dzień bogactwo i różnorodność ozdób zaskakuje widza. Trudno uwierzyć że opłacało się tym rzemieślnikom (a także zamawiającym u nich robotę gospodarzom) wkładać tyle kosztownego wysiłku w wykonanie ozdób, które potem pokryte grubą warstwą błota są prawie zupełnie niewidoczne! A jednak wieś i małe miasteczko były innego zdania. Ozdobnie okuty wóz z jednej strony dodawał splendoru gospodarzowi. Z drugiej — był świetną, ruchomą reklamą umiejętności rzemieślniczego kowala. Jeszcze do ostatniej wojny istniały w Polsce znaczne ośrodki wyrobu wozów, które właśnie w celach reklamowych ozdobnie okuwały swe pojazdy. Takim ośrodkiem była np. podkrakowska Lipnica Murowana, gdzie — jak wspominał starsi mieszkańcy — po całych dniach miasteczko dźwięczało kuciem kowalskich młotów.

Ewentualnych poszukiwaczy ozdobnych okuć na wozach muszą niestety od razu ostrzec że zdobnictwo to występuje dziś jedynie na pewnych obszarach Polski, głównie na południu. Wiąże się ono z używanym tam typem wozu o dyszlu wmontowanym w podwozie na stałe. Natomiast wozy nowszego typu, o dyszlu wyjmowanym używane na rozległych terenach Polski centralnej i północnej — naogół nie mają ozdób. Nie jest to jednak regułą o czym najlepiej świadczy fakt zdobienia tych wozów przez wiejskich kowali z północnej części pow. kozienickiego. Nie znaleziono również dotąd ozdób na dyszlach podwójnych w wozach z tzw. hołobami używanymi na wschodzie.

Krzyże i kopliczki

Jedną z bardzo charakterystycznych cech wsi polskiej są liczne kapliczki i wysokie drewniane krzyże, rozsiane zarówno w obrębie wioski jak i wzdłuż polnych gościńców. Na ich szczytach widnieją małe, kute krzyżyki o rozmaitych kształtach. Najczęściej wieńczy je wizerunek koguta — symbolu czujności. Formy tych krzyżyków bywają niejednokrotnie bardzo efektowne, mimo prostoty wykonania.

Chorągiewki

Na kalenicach dachów, szczytach, wystawkach, bramkach, a zwłaszcza na wszelkich wieżach i wieżyczkach spotykamy chorągiewki-wiatrowskazy. Umieszczane na eksponowanych dla widza miejscach — dawały spo-

sobność wykazania się twórcy zdolnością artystyczną — ale kępowały go co do treści przedstawienia: napisów, monogramów, dat, symboli czy herbów. Napisy na chorągiewkach przekazują więc z reguły nazwiska właścicieli budowli (herby na budowlach „pańskich” lub kościelnych dotyczą fundatora), a prawie zawsze zawierają datę budowy lub przebudowy obiektu. Dlatego wiatrowskazy obok swego znaczenia artystycznego i dekoracyjnego — mogą być ważnymi źródłami, zawierającymi niejednokrotnie jedyne możliwe do ustalenia dane historyczne.

Na pewnych terenach, głównie na północy i zachodzie Polski, chorągiewki spotykamy jeszcze bardzo licznie, nawet na domach wiejskich, często także na wiatrakach.

Kościół i cmentarz

Idąc przez każdą większą wieś nie sposób nie zauważyć kościoła i cmentarza. Czasami, kiedy mimo usilnych poszukiwań we wsi nie znajdziemy niczego godnego uwagi, dopiero stary wiejski kościółek dostarczy nam obfitych plonów. I tu, podobnie jak to było w budynkach gospodarskich i mieszkalnych, dokładnie obejrzymy wszystkie drzwi. Okucia takich starych drzwi kościelnych bywają niekiedy imponujące. Doskonałym przykładem jest zamieszczona w tym samym numerze fotografia okuć ze starego kościoła w Zielonogórskim. Pamiętajmy o tym, że w kościołach możemy mieć do czynienia z zabytkami artystycznego kowalstwa, sięgającymi czasów niekiedy bardzo odległych. I że bynajmniej nie muszą to być wyroby wiejskiego kowala, lecz dzieła sprowadzonego z miasta majstra. Niech nas nie myli toporne wykonanie. Tak właśnie okuwano drzwi i w średniowiecznych miasteczkach!

Podobnie jak w budownictwie świeckim, tak i w kościele, dzwonicy, możemy odkryć piękne okazy krat, a wewnątrz efektowne okucia na skrzynkach bractw kościelnych, starych szafkach w zakrystii itp.

O ile selekcja znajdowanego materiału w wiejskich zagrodach czy na jarmarkach jest rzeczą stosunkowo łatwą, o tyle badania artystycznego kowalstwa i ślusarstwa na cmentarzach to rzecz, której nie polecałbym początkującym zbieraczom. Dziś już powszechnie znajdujemy na wiejskim cmentarzu krzyże sprowadzone z pobliskich miast, gdzie zamawia się je w wielkich mechanicznych ślusarniach, według fabrycznych, nowoczesnych wzorników. Trzeba dużego doświadczenia by swego notatnika nie „zaśmiecili” mnóstwem takich two-

rów, zdobnych w niezliczone girlandy żelaznych liści, nie mających nic wspólnego z indywidualizmem ludowego rzemieślnika.

Co i jak notować

A teraz kilka wskazówek dotyczących samej techniki notowania odkrytych zabytków. W wypadku małych, łatwo dostępnych okuć najlepiej wykonać z nich ołówkiem „przecierkę” na kawałku bibułki. Taka „przecierka” to najwierniejsza kopia zabytkowego okucia. Jeżeli jednak okucie jest zbyt wielkie, albo kształt jego nie sprzyja wykonaniu przecierki, albo nie możemy do niego dotrzeć lub deszcz niszczy bibułkę, wówczas pozostaje rysunek odręczny. W takim jednak wypadku konieczne zanotujemy wymiary okucia.

Nie zapominajmy również umieścić na rysunku danych o znalezionym okuciu: miejscowość, powiat, właściciel przedmiotu, jego adres, a także (i to jest niezmiernie ważne, choć nie zawsze da się ustalić) kto, gdzie i kiedy wykonał ten przedmiot. W ogóle zbieramy o swym odkryciu tyle informacji ile się da. Zebrane w naukowych publikacjach materiały miałyby o połowę większą wartość gdyby o każdym z nich można było powiedzieć coś więcej. W wielu jednak niestety wypadkach podpis pod ilustracją głosi tylko iż np. „okucie pochodzi z Rudnika” lub co gorsza bardziej niejasno „z okolic Jarosławia” itp.

Wiedza nasza o ludowym artystycznym kowalstwie i ślusarstwie mimo szeregu bardzo szczegółowych monografii regionalnych posiada ogromne luki i to we wszystkich dziedzinach tego zdobnictwa. Wiele problemów nadal czeka na rozwiązanie. Myślę tu przede wszystkim o zrekonstruowaniu dróg jakimi przenikały kowalsko-ślusarskie umiejętności z wielkich miast na prowincję, o przenikaniu form. Nie wyjaśniono przyczyn występowania pewnych rodzajów zdobnictwa na pewnych tylko obszarach, a braku tego zdobnictwa na innych. Nie wyjaśniono do dziś kiedy właściwie pojawia się metalowe zdobnictwo na wsiach i które rodzaje tego zdobnictwa przysły pierwsze. Nie ustalono do dziś roli, jaką odegrały w tej dziedzinie stare prowincjonalne ośrodki cechowe i wielkie ślusarnie miejskie, zarzucające swymi wyrobami pewne regiony.

Jeszcze więc przez długi czas łatwo będzie zostać odkrywcą w tej dziedzinie wiedzy o kulturze naszej prowincji.

LESZEK DZIEGIEL

AQUALUNG



W pierwszych latach po wojnie Francuzi Cousteau i Gagnan skonstruowali aparat do swobodnego nurkowania pozwalający zanurzać się do głębokości kilkudziesięciometrowych, bez przewodów łączących z powierzchnią.

Otworzył stanął dla ludzi podmorskie królestwo: królestwo wodnych zwierząt, zatopione przed wiekami miasta, stare galeony i korywety.

A oto prosty ekwipunek człowieka — „zabój” uzbrojonego „wodnymi płucami” — Aqualungiem. Lekki skatander z gumy piankowej chroni przed zimnem. Zapas powietrza sprężonego do 150 atm. nosi nurk na plecach w kilku butlach. Pas z kieszeniami umożliwia osiągnięcie pływerności zerowej. Maskę pozwala patrzeć pod wodą równie swobodnie jak na powierzchni, zaś niezbędny towarzyszy jest aparat fotograficzny w hermetycznej osłonie.



Piechur rosyjski (z lewej) i polski, z 1792 r.

Dzieje i przemiany mundurów wojskowych w ciągu wieków, to zagadnienie pasjonujące nie tylko amatorów dawnych militariów, lecz również przedmiot badań wielu historyków kultury. Podobnie jak w innych krajach tak i u nas ubiory wojskowe wpływały niejednokrotnie na kształtowanie się regionalnych strojów ludowych. I na odwrót — zdarzało się że polski strój cywilny dostarczał wzorów wojskowym projektantom mundurów.

O POLSKIM STROJU WOJSKOWYM

W poprzedniej części artykułu, drukowanego w czerwcowym numerze ZIEMI, autor omawia rozwój polskiego ubioru wojskowego do połowy XVIII wieku.

Po 1775 r. następują zasadnicze przemiany w mundurach wojsk Rzeczypospolitej. Kawaleria narodowa przyjmuje mundury odmienne dla każdej brygady, pułki przedniej straż noszą mundury jednolite w formie, lecz różnej barwy zasadniczą dla każdego pułku. Zasadniczą barwą mundurów piechoty koronnej jest pons, litewskiej zaś błękit. Wyłogi i podszewki są barwy regimentowej z tym, że stare regimenty mają podszewki barwy wyłogów, zaś nowe regimenty podszewki białe. Spodnie i kamizelki są wyłącznie białe, kapelusze trzyróżne i kamasze czarne.

W dobie Sejmu Czteroletniego następuje całkowita zmiana umundurowania wojsk Rzeczypospolitej. Przyjmuje się wzory narodowe dla całego wojska za wyjątkiem gwardii. Wylania się w związku z tym zagadnienie, kiedy wytworzyły się specyficzne formy nowego stroju wojskowego polskiego, opartego o charakterystyczne cechy polskie, jak wyłogi napierśne, podpięte poły, stojąco-wykładany kołnierz, lampasy u spodni.

Mundur tego typu pojawia się w Polsce w milicjach prywatnych przed 1764 r., używany potem w tej formie przez konfederatów barskich w 1768 r., zostaje wprowadzony w kawalerii polskiej w 1775 r. względnie w 1785 r. jako jednolity. W armii rosyjskiej przyjęto go w 1786 r., przy czym umundurowawcy niemieccy wymyślili określenie „rosyjska kurtka”. W 1789 r. otrzymuje mundur

w tej formie piechota polska i litewska. Podobny w 1792 r. przybiera armia szwedzka, potem duńska.

Ze forma tego stroju jest niewątpliwie polska, świadczą o tym wspomniane charakterystyczne cechy polskiego stroju cywilnego.

Kurtka polska wytworzyła się stopniowo z kontusza względnie katanki używanej już w XVII wieku. Staro-wolski wspomina w swym Rycerzu prawym, że dawniej żołnierze polscy nosili białe kurtki karazjowe (z bardzo grubego płótna). Z żupana otrzymała kurtka specjalny wykrój wyłogów u rękawów zwany polskim. Polska forma wyłogów u rękawów jest pozostałością po uzbrojeniu ochronnym, bowiem karwasze zakładano na rękawy żupana, a wtedy opuszczano wyłogi na kiść ręki i kształt ich po odwróceniu zwęzał się ku przodowi, stanowiąc podkład pod rękawicę siat-



w postaci kapeluszy czapek, cylindrków i meloników u strzelców pieszych, w kawalerii tworzy się typ czapki ułańskiej.

Podczas Insurekcji 1794 r. nowe formacje przywdziewają mundury kroju wojsk regularnych lub przybierają strój ludowy okolic, w których są formowane, o barwach odpowiadających tzw. mundurom wojewódzkim.

Po upadku Rzeczypospolitej legie polskie zachowują początkowo mundur polski w formie i barwie, jednak wpływy francuskie na niejednym szczególnie umundurowania wyciskają swe piętno. Dotyczy to zwłaszcza sposobu oznaczania kompanii wyborczych, oznak stopni i oficerskiego



Ulan pruski z r. 1813 (z lewej) i polski z r. 1809.



Od lewej: żołnierz pułku grenadierów gwardii polskiej, żołnierz pułku grenadierów gwardii rosyjskiej, oraz ulan angielski — wszyscy z roku 1817. Ostatni z nich to ulan polski z r. 1815.

wszystkich rodzajów broni wojsk Rzeczypospolitej.

Po upadku Państwa staje się strojem legionów polskich we Włoszech i przez nie przechodzi do wojsk lombardzkich i włoskich, a jako strój straży leśnej Królestwa Włoskiego przetrwała do 1890 r.

Sposób zapinania lotem (na haftki) brzegów odwiniętych wyłogów napierśnych kurtki wymagał specjalnego rozmieszczenia guzików przypinających wyłogi w ten sposób, by gładko leżały. Z tego wytworzyła się specjalna forma polskich rabatów o charakterystycznym wycięciu górnym. Najbardziej typowym dla ówczesnej kurtki było odkładanie na boki i przypinanie przedniego brzegu pół. Ten szczegół zachował się tylko w XVIII w. i w początkach w. XIX.

Spodnie w ówczesnym stroju wojskowym polskim zdobiono zawsze lampasem koloru broni lub pułku.

Nakrycia głowy od 1775 r. były w kawalerii i przedniej straży dość zróżnicowane, jak konfederatki, kucmy, kołpaki. Regimenty konne i piesze używały kapeluszy trzyróżnych.

Od 1789 r. piechota nosi kołpaki piśniowe z daszkami i piórami. Wytworzyła się specjalnie polski typ nakrycia głowy w piechocie i artylerii

małego munduru (tj. ubioru koszarowego). Pułk jazdy legionów zachował mundur polski pod względem kroju i barw do czasu wejścia w służbę francuską w legii nadwiślańskiej.

Mundury wojska polskiego Królestwa Warszawskiego pomimo zachowania dawnych barw i krojów polskich są właściwie zupełnie nowe w ogólnej formie. Wojsko polskie od 1807—1810 r. początkowo we wszystkich rodzajach broni używa wszystkich krotek, za wyjątkiem strzelców konnych, którzy noszą jednorzędowe spencery bez rabatów. Po roku 1809 pojawiają się nowe formacje kawalerii. Huzarzy i kirasjerzy są umundurowani na wzór francuski. W piechocie niektóre pułki zamiast czapek rogatych używają okrągłych kaszkieł, artyleria konna przybiera mundur podobny krojem do strzelców konnych i zamiast czapek rogatych nosi bermyce. Formacje polskie przy armii francuskiej, pułki lekkokonnej gwardii noszą polski mundur zarówno w formie jak i w barwie oparte na wzorach kawalerii narodowej. Ułani nadwiślańscy mają barwę żółtą. Piechota legii nadwiślańskiej używa kaszkieł okrągłych podobnie jak pułki Królestwa Warszawskiego odkomenderowane do Hiszpanii.

Kurtka ułańska w tym okresie zachowuje wszelkie cechy polskie, różni się tylko od pierwowzoru z poprzedniego okresu tym, że kołnierze są stojące, a nie stojąco-wykładane, oraz że poły odwijane przesuwają się od środka spięcia rabatów na linię bioder, stanowiąc rodzaj frakowych pół.

Również kurtka piechoty nie jest już podobna do ułańskiej. Nie ma zapięcia na haftki środkiem odwiniętych rabatów przypiętych końcami do guzików naszytych w dwóch rzędach. Ze względów praktycznych rabaty zapina się na boczne rzędy guzików. Można je łatwo odpinać w celu wyprania.

Spodnie w kawalerii posiadają podwójne lampasy, piechota natomiast ma spodnie bez lampasów.

W okresie 1813/14 piechota otrzymuje kurtki zupełnie podobne ułańskim. Nowością jest strój pułku krakusów oparty na wzorach ludowych, potem zaś w 1814 r. otrzymują oni okrągłe czapki tzw. czerkieski, oraz przywdziewają wołoszki, jednorzędowe długie spencery z naszytymi ładunkami na piersiach.

Wojsko Królestwa Polskiego 1815/30 jest przybrane w mundur o cechach polskich, a więc barwy zasadnicze broni: granat dla piechoty i ułanów, zielony dla artylerii i strzelców konnych. Czapki rogate mieli tylko ułani. Nosi się kurtki ze stojącymi kołnierzami i rabatami. Wyłogi u rękawów kawalerii są ścięte po polsku, w piechocie — brandenburskie. Kaszkieły posiadały początkowo girlandy w piechocie, czapki ułańskie bez kordonów miały tylko etyszkiety tj. grube sznury ozdobne łączące czapkę z naramiennikiem. Strzelcy konni podobnie jak w poprzednim okresie noszą spencery jednorzędowe.

Mundur był krojem i barwą tak podobny do gwardii rosyjskiej, że w czasie wojny 1831 r. trudno było odróżnić wrogów od własnych oddziałów.

Specjalne studium munduroznawcze mogłoby ustalić, które formy oznak i barwy armia rosyjska przyjęła z wojska polskiego po 1815 r., a jakie wojsko polskie wzięło od Rosjan stosownie do życzenia Cesarza i Króla Aleksandra.

W okresie Powstania Listopadowego żołnierze i oficerowie początkowo zrywali samowolnie oznaki wspólne z gwardią rosyjską, dlatego więc nowe formacje jazdy przybierały mundury podobne formą i ozdobami do mundurów z okresu Księstwa War-

miast kaszkieł dano im czapki szkiełne okrągłe podobne ówczesnym furazerkom z daszkami.

Oryginalne były mundury ochotniczych batalionów strzeleckich oparte na wzorach ludowych lub mundurach Księstwa Warszawskiego, a nawet przedrozbiorowych.



Polski ułan z 6 pułku i piechur z innej formacji. Obaj z r. 1831.

Po upadku Powstania w formacjach wystawianych na ziemiach obcych starano się podkreślić w pewnych szczegółach charakterystyczne cechy polskie. W legionie węgierskim nosi więc piechota niskie rogatywki z daszkami i barankowym otokiem, a także długie wołoszki, jednak o pewnych cechach i ozdobach obcych. Formacje ułanów nie używają już munduru który wytworzył się podczas Powstania Listopadowego.

W legionie włoskim mundur już całkowicie zbliżył się do wzorów francuskich i tylko orzełek wskazuje iż jest to formacja polska.

Dywizja polska w 1856 r. uformowana przez Zamojskiego w Syrii, w czasie wojny krymskiej po stronie Anglików, używa w piechocie mundurów angielskich; kawaleria ma mundury ułańskie również typu angielskiego, zaś pułki kozaków względnie dragonów otomańskich mają — przy czapkach futrzanych — mundury zbliżone do pułku jazdy wołyńskiej z 1831 roku.



Od lewej: polski legionista na Węgrzech w r. 1848, polski legionista we Włoszech w r. 1849, galicyjski gwardzista narodowy z r. 1848, oraz oficer Żuawów Śmierci z r. 1853.

szawskiego. Pułki jazdy wojewódzkiej i ochotnicze używają stylizowanych strojów ludowych. Zamiast krotek nosi się tak zwane wołoszki jednorzędowe z kartusiami na piersiach lub dwurzędowe o dłuższych połach. Z tych ostatnich potem wytworzyły się „ułanki” czyli dwurzędowe kurtki zapinane z boku na guziki naszyte w formie zapięcia rabatów, używane w pułkach ułanów niemieckich, rosyjskich i angielskich do 1918 r.

Pułki piechoty nowej formacji otrzymały skromny mundur składający się z jednorzędowej wołoszki z kieszeniami na bokach i piersiach. Za-

W powstaniu 1863 r. niektóre formacje przybierają praktyczne mundury przystosowane do warunków walki partyzanckiej. Są to stroje bądź ludowe, bądź oparte o strój francuskich żuawów. Kawaleria przybiera ubiory podobne mundurom krakusów lub kozackim.

JAN BENDA
rysował:
ST. KOBIELSKI



Pasażerowie oceanicznych statków płynących w pobliżu północnych wybrzeży Brazylii są niejednokrotnie świadkami dość dziwnego widoku. Pośród wodnego przestworu unosi się na falach niewielka, krucha tratwa zaopatrzona w żagiel i obsługiwana przez czterech ludzi. Choć fale zalewają pokład, ten z pozoru prymitywny lecz niesłychanie lekki stateczek doskonale sobie radzi. To „jangada” — tratwa brazylijskich rybaków ze stanu Ceara.

Wioski ich rozsiane są wzdłuż niekończących się piaszczystych plaż atlantyckiego wybrzeża. Ubogie domki ze słomy i kokosowych liści zdają się ginać w morzu piasku. Trudno tu o słodką wodę. Aby ją uzyskać trzeba wykopywać w plażach serie dołów w których po pewnym czasie zbiera się ten cenny płyn. Żywności i zarobku dostarcza ocean. Gdy tylko dzień zaczyna ruszać na półow szczypli, ciemnoskórzy, kędzierzawi rybacy z Ceara.

Powrót z połowów następuje zazwyczaj wieczorem, ale czasami spędzają na oceanie kilka dni. Aby choć częściowo ochronić się przed wiecznie zmywającą tratwy wodą, przywiązują rybacy z Ceara ubrania przepojone cegląstym płynem o właściwościach zbliżonych do smoły.

Najpowszechniej łowi się langusty, choć jest to towar tani, przynoszący niewielkie zyski. Połów odbywa się następująco: w morzu zatapia się wielkie klatki na okres paru dni. Miejsce ich zatopienia wskazują unoszące się na powierzchni pływaki. Klatka zbudowana jest w ten sposób, że wpelzająca do niej langusta nie może się już wydostać na zewnątrz.

„Jangady” z Ceara niczym nie różnią się od tratw jakimi wyruszano stąd na morze w XVI wieku, kiedy na wybrzeże docierali pierwsi Europejczycy. I dziś łączy się je z kilku pni białego, lekkiego drzewa „la pitia” nie używając do tego ani kawałka żelaza. Pnie wiąże się ze sobą sznurami.

Strzałki wskazują wybrzeże stanu Ceara.



RECENZJA



Czechosłowacja jest jednym z nielicznych krajów Europy środkowej, z którym tak częste w tej części globu wojny obeszły się wyjątkowo łaskawie. Znalazło to swój wyraz zwłaszcza w stanie oraz liczbie zabytków, która dla tego stosunkowo niewielkiego kraju jest imponująca.

Pozostało to nie bez wpływu na rozwinięcie szerokiej działalności przez szereg towarzystw krajoznawczych, towarzystw miłośników zabytków, organizacji turystycznych itd. Jednym z przejawów takiej działalności jest duża ilość ukazujących się w Czechosłowacji czasopism krajoznawczych o charakterze centralnym i regionalnym.

Najbardziej reprezentatywnym dla pism typu krajoznawczego o zasięgu ogólnokrajowym jest wydawany w Pradze miesięcznik „Naše vlast” („Nasza Ojczyzna”).

Oprócz szeregu poważnych nazwisk profesorskich z piśmem współpracuje szeroki krąg działaczy terenowych oraz czytelników. Prawie każdy z numerów pisma otwiera artykuł problemowy, traktujący o krajoznawstwie i jego współczesnych zadaniach. Ciekawe są dla polskiego czytelnika artykuły poświęcone formom działalności krajoznawczej.

Zwracają uwagę takie zagadnienia, jak (dyskutowany w tym roku także na łamach „Ziemi”) stosunek turystyki do krajoznawstwa, znaczenie krajoznawstwa dla sprawy ochrony przyrody, oraz jego szczególna rola jaką ma do spełnienia wobec etnografii. Pismo stara się popularyzować prace kół krajoznawczych i pozyskać dla swych idei nowe rzesze społeczeństwa spośród robotników i młodzieży. Z artykułów poświęconych propagandzie krajoznawstwa wynika, że zasadniczą formą upowszechniania działalności krajoznawczej w Czechosłowacji są muzea i wystawy krajoznawcze. O rozmachu tej działalności świadczy istnienie w Czechosłowacji około 170 muzeów tego typu. Zapoznajemy się z różnego rodzaju ekspozycjami, których treścią jest przyrodniczość, znaleziska archeologiczne, historia poszczególnych regionów, miast czy też zabytków. Ciekawe są muzea poświęcone historii techniki, leśnictwa oraz łowiectwa.

Ochrona przyrody w Czechosłowacji zajmuje dużo miejsca na łamach „Naše vlast”. Za najbardziej skuteczną metodę pozyskania dla tej sprawy szerokiego ogółu społeczeństwa pismo uważa utworzenie — na wzór np. Polski czy Węgier — powszechnej organizacji ochrony przyrody.

Poruszany jest problem zalesiania nieużytków, zapobiegania pożarom lasów, walki ze szkodnikami i właściwego doboru gatunków sadzonych drzew. Nieracjonalna gospodarka leśna w przeszłości przyniosła i nadal przynosi Czechosłowacji dotkliwe straty.

Trwa jeszcze akcja wydzielania ciekawych z punktu widzenia przyrodniczego obszarów, które zostają uznane za rezerwaty.

Pismo zawiera artykuły poświęcone rodzimej florze i faunie (szczególnie entomologii), propaguje zakładanie przez młodzież zielników oraz zbiorów owadów i motyli. Zainteresowanie budzi artykuł poświęcony „orzechowi wodnemu”, rosnącemu na wodach stojących w Czechosłowacji, którego owoce są jadalne i stanowią doskonałą namiastkę orzechów laskowych, w smaku przypominając jadalne kasztany.

Każdy numer „Naše vlast” zawiera wykaz ukazujących się nowości wydawniczych, które mogą zainteresować krajoznawcę. Przeważają tu tytuły opracowań historycznych.

Specjalnie dla kronikarzy kół krajoznawczych przeznaczony jest dodatek do „Naše vlast” w postaci wkładki zatytułowanej „Kronikarze — kronikarzom”.

tek do „Naše vlast” w postaci wkładki zatytułowanej „Kronikarze — kronikarzom”.

Ciekawą pozycją czasopisma są liczne artykuły poświęcone historii techniki, która w Czechosłowacji ma tak bogate tradycje. Atrakcyjność ich ilustrują takie tytuły jak: „Znikające rzemiosło wypalania węgla drzewnego”, „Czynna kuźnia z XVII wieku”, „Odkrycie najstarszej huty szkła”, „250-lecie Politechniki Praskiej”, „Najstarsza papiernia w Czechosłowacji”, „Ostatnie kuźnie wodne i ostatni ich kowale”.

Z serii artykułów poświęconych zabytkom historycznym oraz ich ochronie, na czoło wybija się artykuł o odbudowie gotyckiego miasta Cheb, odzyskanego przez Czechosłowację po II wojnie światowej. Z ciekawych zabytków tego miasta na uwagę zasługuje romańska kaplica św. Erharda z XII w. Wymienić należy artykuł poświęcony starym zborom Braci Czeskich.

Problem ochrony zanikającego drewnianego budownictwa ludowego jest poruszony z okazji zabezpieczania tego typu zabytków w okręgu Czeskiego Raju.

Osobny dział stanowią liczne artykuły poświęcone sztuce i muzyce ludowej, dawnym obyczajom i wierzeniom, prognostyce i meteorologii ludowej, gawędom i przysłowiom.

Trzeba w końcu wymienić artykuły i wzmianki poświęcone Polsce i Polakom, jak np. artykuł o kontaktach turystycznych między Polską a Czechosłowacją w Karkonoszach oraz artykuł o współpracy w XIX w. na terenie Czech, a później na emigracji, działaczy politycznych obu narodów.

Wiele satysfakcji sprawia polskiemu czytelnikowi wzmianka poświęcona Polskiemu Związkowi Kulturalno-Oświatowemu, prowadzącemu ożywioną działalność wśród Polaków zamieszkałych w Czechosłowacji.

Należy stwierdzić, że pismo jest redagowane ciekawie i przejrzysto i stanowi dla czytelników, zajmujących się krajoznawstwem, dużą pomoc. Ujemną stroną pisma stanowi skoncentrowanie uwagi głównie na terenie Czech ze stosunkowo słabym uwzględnieniem ciekawej krajoznawczo Słowacji.

Mало jest natomiast artykułów poświęconych sprawom turystyki. Szata graficzna poprawna choć nieciekawa. Dobre zdjęcia zawierają głównie strony tytułowe.

ALEKSANDER LERNER

REPORTAŻ Z IZRAELA PIERWSZY ODCINEK



MICHALINA LIGOCKA
KORRESPONDENT „ZIEMI”

W dzieciństwie wyobrażałam sobie, jakby to było pięknie, gdyby można było połączyć wiosnę lato i jesień w jedną uroczą i nieprzemijającą porę roku. Żeby jednocześnie kwitły wszystkie drzewa i wszystkie kwiaty i dojrzewały wszystkie owoce naraz. Teraz miałam to moje marzenie zrealizowane „z nawiązką” znaleźć w Izraelu. Kiedy pytają mnie znajomi krótko „jak tam było”? wpadłam w zakłopotanie, nie mam wprawdy dziennikarskiej, nie robiłam zbyt wielu notatek. Oto parę migawek, które mnie wydają się zajmujące. Będą to spostrzeżenia kompletnego laika, bardzo, bardzo subiektywne.

Jak zwiedzić ten kraj? Czy są jakieś organizacje turystyczne, biura, zbiorowe wycieczki? Czy to kosztowne? Otóż przyznam, że na początku mego pobytu byłam bardzo zdezorientowana i zagubiona. Nie miałam przyjaciół, którzy mogliby poświęcić mi dużo czasu, tam nikt nie przejmował się przyjazdem kogoś zza granicy do tego stopnia, żeby dla niego zwalniać się z pracy, lub porzucić swoje zajęcie. Praca jest zbyt cenna i zbyt trudna do zdobycia, by można ją było lekceważyć. Zainteresowałam się więc biurami turystycznymi. W Izraelu działa kilka takich prywatnych (i jak sądzę ogromnie dochodowych) przedsiębiorstw. W Jerozolimie tele-

fonistka z informacji na zapytanie o numer jakiejś organizacji turystycznej podawała mi numer ... związku taksówkarzy. W Tel-Awiv, i innych miastach biją w oczy afisze i prospekty, reklamujące *Kopel-Turist*, czy inne prywatne biura. Wybrałam się więc do jednego z nich. Przyjęła mnie miła i wieloma językami władająca, panienska. Zapoznałam się z cenami wycieczek. Są dla skromnego turysty wręcz przerażająco wysokie. Nic więc dziwnego, że na wycieczce, w której brałam udział spotkałam tylko trzech Amerykanów, jednego Anglika i dwie bardzo elegancko wyglądające Niemki. Wszystko ludzie starsi, zamożni i znudzeni.

Wybrałam się na jednodniową wycieczkę od Sodomy. Wprawdzie kusity mnie wyjazd do Galilei, czy Ejlatu, ale ceny ich równały się całemu „majątkowi” jakim dysponowałam w Izraelu.

Pojechaliśmy bardzo wygodnym małym, dziesięcioosobowym autobusem. Przewodnik sam prowadził wóz i jednocześnie bez przerwy mówił. Nie przestawał mówić nawet na najostrejszych wirażach. Mieliśmy do przebycia długą trasę, więc wóz pędził szybko. Przewodnik mówił jeszcze szybciej, a my wychyliłyśmy głowy: raz na lewo, raz na prawo. Potem był krótki postój w Bersze- wie, szalenie ciekawym wschodnim

mieście, leżącym już na granicy prawdziwej pustyni. Gnałimy przez rudą pustynię w szalonym tempie i szalonym upale, dowiadując się po drodze, że to czarne, to namioty Beduinów, „którzy koczują i mają dużo żon”. Wreszcie dojeżdżamy nad Morze Martwe. Tam pozwolono nam również bardzo krótko przyglądać się temu dziwowi natury, a już po piętnastu minutach zaczęło zapraszać do powrotu. Głos przewodnika dobiegł mnie w chwili, gdy beztrudno pluśkałam się w słonej wodzie. Ogromnie więc zdegustowana musiałam prędko ubierać się i mokra jeszcze i słona wskakiwać do auta. Czekali tam zgorzsnieni Amerykanie, którym wystarczała świadomość, że byli nad Morzem Martwym, a nie uważali za konieczne specjalnie mu się przyglądać. I znów w szalonym pędzie wróciliśmy do Tel-Awivu. Rozdano nam jeszcze kolorowe prospekty, z których wynikało, że nikt tak znakomicie nie pokaże piękna ziemi izraelskiej, jak biuro turystyczne. Nie byłam tego zdania i po tym eksperymencie dalsze podróże odbywałam już na własną rękę.

C.D.N.



Instrukcja naczelnego prezesa Prus Wschodnich z dnia 24. VII. 1873 roku, wprowadzająca język niemiecki w szkołach polskich na terenie Pomorza, Warmii i Mazur jako język nauczania, stała się punktem zwrotnym w formach walki ludności polskiej z naciskiem germanizacyjnym. Dotąd bowiem przede wszystkim obrona polskości polegała na walce o zachowanie języka polskiego w szkole. Po roku 1873 główny nacisk położono na obronę gospodarczą.

Również i władze pruskie po r. 1880 uznały, że najistotniejszym problemem polityki germanizacyjnej była kolonizacja niemiecka. Wiązała się ona ściśle ze zmianą stosunków agrarnych i społecznych. Chłoptwo bowiem i robotnicy rolni na tych terenach byli w zdecydowanej większości Polakami. Jeśli nawet władze pruskie zdołały pozyskać niemieckich robotników rolnych, to ci i tak nie byli w stanie wyprzeć robotników polskich. „Robotnik niemiecki — stwierdzał prezes prowincji pruskiej — był za wygodny i nie zdołał nawet wyprzeć sezonowych robotników polskich z Królestwa Polskiego, pracujących na majątkach niemieckich na Warmii i Mazurach”. Za wszelką cenę władze pruskie zmierzały więc do zahamowania wzrostu elementu polskiego. A robotnicy polscy stale napływali.

Pod koniec XIX wieku inny jeszcze fakt począł Niemcom grozić gwałtownym rozszerzaniem się elementu polskiego na Mazurach. Oto w latach 1880—1910 w powiatach warmijskich, olsztyńskich i reszelskim, oraz na terenie powiatu lubawskiego i brodnickiego nastąpił gwałtowny rozwój polskich chłopskich gospodarstw. Równocześnie niemiecka gospodarka, chłopska i folwarczna w sąsiednich powiatach mazurskich, ostródzkim, nidzickim i szczytyńskim, przeżywała gwałtowny kryzys. To też bogaci, silni finansowo chłopcy polscy powiatów warmijskich oraz Lubawskiego (którą władze pruskie nazywały „polskim klinem”) zaczęli wykupywać ziemię w sąsiednich powiatach mazurskich. Szczególnie licznie nabywali oni ziemię rozparcelowanych majątków niemieckich.

To żywiołowe osadnictwo polskie na terenie Mazur ujął w ramy organizacyjne Bank Ludowy w Lubawie. Założył go w roku 1892 dr Rzepnikowski. W roku 1907 filię Banku Ludowego założono w Szczytnie (Bank Mazurski, kierowany przez Kazimierza Jaroszyka), oraz w roku 1910 w Olsztynie (Bank Ludowy, kierowany przez Władysława Pieniężnego).

Tej polskiej akcji wychodzącej z Lubawy postanowiły przeciwstawić się władze pruskie, a szczególnie członkowie niemieckiej Hakiety z Dąbrówny, sąsiadującego z Lubawą. Założyli oni *Deutsche Hilfskasse* (Kasę Pomocową) w Dąbrównie. Prezes rejencji królewskiej i naczelną przesyłał w sprawie tej pismo do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w Berlinie o poparcie dla tej kontrakcji niemieckiej. Dowodzili, że celem jej było wzmocnienie niemieckości na tym najbardziej na południe wysuniętym krańcu powiatu ostródzkiego, na który naciska najsilniej kolonizacja polska, idąca z Prus Zachodnich. Podkreślano, że akcja ta bez pomocy państwa nie uzyska żadnych wyników. Założyciel *Hilfskasse* pastor Skowronek z Ostrody, oraz asesor rejencji Sperl z Ostrody wyraźnie zaznaczali, że z powodzeniem przeciwstawić się akcji Banku Ludowego w Lubawie będą mogli, jeśli uzyskają pomoc finansową dla zasiedlonych już chłopów niemieckich i rzemieślników. Bank Lubawski z powodzeniem bowiem wykorzystuje trudności finansowe chłopów niemieckich i wykupuje ich ziemię, oraz osadza Polaków.

Działalność Banku Lubawskiego wzmagala się z roku na rok. Łączność handlowa i pieniężna, ciągle wyjazdy ludności powiatu ostródzkiego do Lubawy celem załatwienia formalności pieniężnych miały — jak przypuszczał landrat ostródzki — ludność powiatu związać gospodarczo z Lubawą i uzależnić ją od Banku Lubawskiego. Tym



Bank Mazurski w Szczytnie.

sposobem wciągano ludność bezpośrednią do akcji polskiej.

Dr Rzepnikowski mimo kontrakcji niemieckiej realizował swój plan osadnictwa. Ilustracją jego iście koronkowej pracy mogą być trzy wsie pod Dąbrówną: Marwald, Lewald Wielki i Mały. W wyniku systematycznej akcji pożyczkowej w latach 1890—1902 uległy gwałtownej polonizacji i katolicyzacji. Świadczyły o tym następujące cyfry:

	Ewangelicy			Katolicy		
rok	1890	1895	1900	1890	1895	1900
Wielki Lewald	426	388	315	284	293	348
Mały Lewald	177	176	131	94	114	142
Marwald	490	428	424	132	172	176

Naczelną przesyłał w sprawie tej pismo do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w Berlinie o poparcie dla tej kontrakcji niemieckiej. Dowodzili, że celem jej było wzmocnienie niemieckości na tym najbardziej na południe wysuniętym krańcu powiatu ostródzkiego, na który naciska najsilniej kolonizacja polska, idąca z Prus Zachodnich. Podkreślano, że akcja ta bez pomocy państwa nie uzyska żadnych wyników. Założyciel *Hilfskasse* pastor Skowronek z Ostrody, oraz asesor rejencji Sperl z Ostrody wyraźnie zaznaczali, że z powodzeniem przeciwstawić się akcji Banku Ludowego w Lubawie będą mogli, jeśli uzyskają pomoc finansową dla zasiedlonych już chłopów niemieckich i rzemieślników. Bank Lubawski z powodzeniem bowiem wykorzystuje trudności finansowe chłopów niemieckich i wykupuje ich ziemię, oraz osadza Polaków.

Założenie *Hilfskasse* w Dąbrównie nie spełniło jednak pokładanych w niej nadziei. Kredyty państwowe i społeczne nie wystarczały i ostatecznie trzeba było z nich całkowicie zrezygnować. Bank Lubawski, nie dysponujący pomocą państwa, w walce z *Hilfskasse* wychodził zwycięsko. Prezes rejencji królewskiej tak oceniał w r. 1903 sytuację: „kredyty interwencyjne prowincjonalnej *Hilfskasse* w Królewcu są dla *Hilfskasse* w Dąbrównie nie do przyjęcia, gdyż płacić musi od nich 3 1/2%, 3% amortyzacji rocznie i przejąć koszt zmiany waluty. Na tych samych warunkach udziela kredytów prowincjonalna kasa spółdzielcza. *Hilfskasse*, w Dąbrównie, w przeciwieństwie do Banku Lubawskiego pracuje z deficytem. Nie można jednak dopuścić do

upadku tej kasy i dlatego landrat ostródzki musi ze swych funduszy dyspozycyjnych pomóc w wysokości 4.000 do 6.000 marek”. Landrat udzielił pomocy, ale żądał, by każdą pożyczkę z *Hilfskasse* w Dąbrównie on zatwierdzał.

Konkurencja *Hilfskasse* z Bankiem Lubawskim wyraziła się również i na polu innym. Bank Lubawski udzielał pożyczek na drugą i trzecią hipotekę. Tymczasem *Hilfskasse* udzielała pożyczek tylko na pierwszą hipotekę. W wyniku całej kilkuletniej działalności *Hilfskasse* udzieliła pożyczek hipotecznych 9 gospodarzom i paru rzemieślnikom. W kwietniu 1902 roku *Hilfskasse* stanęła przed koniecznością zawieszenia działalności. Zwrócono się o pomoc do samego kanclerza Rzeszy Bülowa, uzasadniając podanie o dotację faktem, że sąsiadującą z Dąbrówną wieś Groszki znajduje się już prawie w rękach polskich, że i inne miejscowości w połowie już są polskie. Zachodzi więc obawa, że na skutek pomocy Banku Lubawskiego, jeszcze więcej miejscowości przejdzie w ręce polskie. Wezwania o pomoc nie odnosiły skutku. *Hilfskasse* dalej prowadziła suchotniczy żywot. Istotnym gospoda-

rzem powiatu ostródzkiego — według oceny landrata — stał się dr Rzepnikowski.

Podobnie zaczęła się po roku 1908 kształtować sytuacja na terenie powiatu nidzickiego. Dr Rzepnikowski przy pomocy Banku Mazurskiego i Ludowego w Olsztynie zaczął sięgać po dalsze powiaty mazurskie — szczytyński, piski, a nawet elcki.

Władze pruskie chciały jednak za wszelką cenę odciąć Mazury i Warmię od „polskiego klina — Lubawczyzny”. Siegnięto więc też po inną formę akcji germanizacyjnej — tzw. polityki dominalnej — *Domänenpolitik*. Chcąc utrzymać niemiecki stan posiadania ziemi, zagrożony akcją wykupywania jej przez Polaków, państwo pruskie zaczęło skupować ziemię z prywatnych rąk niemieckich i przekształcać ją na ziemię państwową. Charakterystycznym przykładem takiej polityki była sprawa dwóch majątków — Kopijki w powiecie elckim i Naprom w powiecie ostródzkim. Właściciele tych majątków, nawet dobrze zagospodarowanych, byli bardzo zadłużeni. Zamierzali je sprzedać. By nie przeszły w ręce polskie prezes rejencji mimo wysokiej ceny uważał zakupienie ich za konieczne. Majątek ten — udawadniał w r. 1905 prezes rejencji ministrowi — jeśli dostanie się w ręce dobrego gospodarza, będzie

mógł przynosić znaczne dochody. Z drugiej strony państwo winno go kupić, gdyż nie znajdzie się narodowo uświadomionego kupca, któryby chciał tak wielki kapitał włożyć na terenie położonym tak blisko polsko-rosyjskiej granicy. Najważniejszym momentem jest jednak sprawa narodowa. Ruch polski bowiem w powiatach mrągowskim, piskim i elckim poczynił znaczne postępy. Idzie zdecydowane polskie osadnictwo z powiatu lubawskiego, olsztyńskiego, nidzickiego i szczytyńskiego na wschód — i północne powiaty mazurskie. Niemieccy osadnicy i właściciele ziemscy pod naporem polskiego osadnictwa cofają się. Dotychczas wprawdzie wykupywane są przez Polaków mniejsze gospodarstwa, jednakże już dochodzą pogłoski, że Polacy dopytują się o wykup większych majątków. Nie należy jednak czynić zarzutów niemieckim właścicielom, że sprzedają Polakom swą ziemię. Finansowe ich położenie jest tak ciężkie, że jeżeli znajdują kupca, który dobrze zapłaci nie pytają się jakiej on narodowości. Nie należy jednak dopuścić, by na Mazurach osiedlił się jakiś polski obszar, który mógłby zacząć kierować ruchem polskim na tym terenie. Ponieważ oferty na kupno majątków są coraz liczniejsze, mogą zająć wypadki zakupienia ich przez Polaków, a Niemcy na pogranicznych ziemiach nie chcą się osiedlać, państwo musi się starać o kredyty na wykup ich.

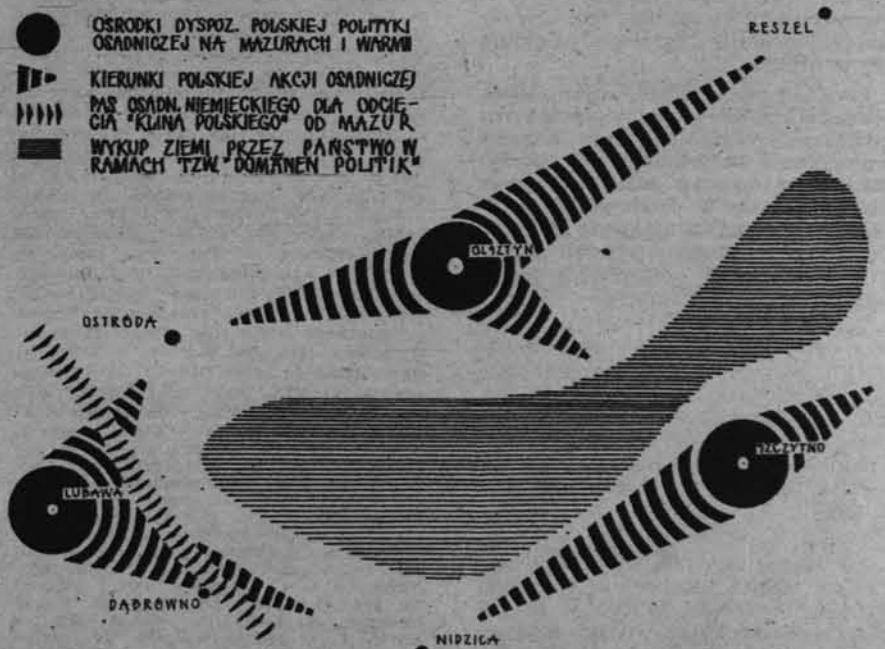
Władze pruskie nie mogły znaleźć lekarstwa na rozwiązanie zagadki przynależności gospodarczej i finansowej chłopów polskich w Warmii i na Lubawczyźnie — właśnie w latach 1890—1910, kiedy na tym samym terenie niemiecka własność chłopska jak i wielka własność przeżywała ostry kryzys. Na razie jedynym ratunkiem dla niemieckiej własności ziemskiej były fundusze państwowe. Toteż w czasie od 1900—1914 państwo wykupiło na Mazurach znaczną ilość niemieckich wielkich majątków o areale przeszło 30.000 ha.

Akcja Banku Lubawskiego w powiecie ostródzkim nie zmalała jednak. Władze pruskie w Królewcu czuły się bezsilne. Wobec tego do pomocy przysłała w r. 1900 protestancka fundacja z Magdeburga, *Klosterbergische Stiftung*, której głównym fundatorem był Fryderyk Krupp, niemiecki król stali. Otóż fundacja ta, której celem było popieranie protestanckiego uniwersytetu w Halle, postanowiła ulokować swe kapitały w „zagrożonym przez kolonizację polską powiecie ostródzkim”. Nie chcąc dopuścić do wykupienia majątków niemieckich przez Bank Lubawski, fundacja z Magdeburga uznała, że *Generalna Komisja w Królewcu* winna wydać zakaz niemieckim właścicielom majątków parcelowania swych majątków dla polskich osadników. Sprawa o tyle trudna, że jeśli się ma przeprowadzać parcelację dla osadników niemieckich to konieczna jest pomoc państwa, Polacy bowiem dysponują wielkimi kredytami.

Zachodnio-niemieccy przemysłowcy z Kruppem na czele, wiedząc, że państwo powoduje się niezrozumiałymi względami oszczędnościowymi w polityce germanizacyjnej, zdecydowali się zaangażować w akcję odgradzającą „polski klin lubawski” i Bank Lubawski od sąsiadujących z nim powiatów mazurskich — pasem ziemi będącym w ręku wielkich właścicieli, chłopów niemieckich, oraz państwa.

Z walki przeciw polskiej konkurencji osadniczej wyszli Niemcy do roku 1914 pokonani. Bank Lubawski zdołał w ciągu kilku lat przed I wojną światową osiedlić znaczną ilość polskich chłopów w okolicach Dąbrówny. Wybuch wojny zahamował osadnictwo polskie.

Bezpośrednio po wojnie (w latach 1918—1920) działalność Banku Lubawskiego skoncentrowała się na akcji politycznej. Bank finansował walkę plebiscytową, oraz akcję konspiracyjną



JAKUB ANTONIUK PAMIĄTKI Z LAT GŁODOWYCH

„Od powietrza, głodu, ognia i wojny — zachowaj nas, Panie!” — Tymi słowami od wieków, prosił lud w modłach o odwrócenie tych czterech strasznych klęsk trapiących rodzaj ludzki. Od wieków łączono je razem, jako że każda z nich wiązała się z innymi. Np. wojna niosła zawsze za sobą pożary, głód i epidemie. Również i każda grasująca w kraju epidemia jak i pożary wsi i miast sprowadzały zawsze klęskę głodu. W czasie wojny przechodzące oddziały wojskowe grabiły, rekwirowały i niszczyły wszystko co nadawało się do zjedzenia, pożar niszczył wszystko czego nie zdołano uratować, a w czasie epidemii chorób zakaźnych ludzie porzucali pracę, chroniąc się po lasach i pustkowiach. Nic więc też dziwnego, że głód był aż nazbyt częstym gościem w naszych dawnych wsiach, miastach i miasteczkach, wyludniając je, niszcząc i zubożając. Np., jak wynika z dokumentów zachowanych w bibliotece Krasińskich, w latach 1557, 1570, 1571, 1580, 1599, 1600 panował na całym Podlasiu „głód ciężki”. Jeszcze bardziej „ciężki głód” nawiedził Podlasie, a wraz z nim i całą Polskę po strasznej epidemii cholery w 1652 r. oraz po pamiętnym „potopie” szwedzkim, za czasów panowania króla Jana Kazimierza. Później klęski głodowe notują kroniki w latach 1714, 1795 i 1844—45, przy czym w tych ostatnich latach głód wyludnił tereny dzisiejszych Mazur i Warmii. Nie były wolne od głodu i inne lata

XVIII i XIX wieku. Wszakże na tle głodu jaki nawiedził w latach 1854—56 północno-wschodnie tereny Polski napisała Eliza Orzeszkowa swoją krótką, wstrząsającą nowelkę „Obrazek z lat głodowych”. Stawiano więc u wejścia do wsi i przy drogach wyniosłe i pięknie nieraz wykonane krzyże, na których wycinano koziakiem modlitewne westchnienie: „Od powietrza, głodu, ognia i wojny — zachowaj nas Panie”; a gdy i to nie pomagało, sięgano często do dawnych gusiel, wierzeń i zabobonów.

Żyją jeszcze na wsiach wspomnienia o tym, jak to kiedyś ludzie w latach głodu, gdy zawodziły już modły, szukali na polach kamienia przypominającego kształtem bułkę chleba i kamień ten wmurowywali później uroczyście w zewnętrzną ścianę kościoła, lub nawet spichlerza. Jeżeli kościół był drewniany, kamień taki wmontowywano w mur (zazwyczaj nieopodal wejścia) okalający cmentarz kościelny. Kamień ten według ówczesnych wierzeń miał za zadanie „przypominać” Bogu potrzebę obdarzania danej okolicy urodzajem i chlebem.

Wyjaśnialoby to tajemnicę owych kul kamiennych, widniejących do dziś w ścianach niektórych starych kościołów, takich jak w Zakroczymiu koło Modlina, katedrze w Łomży oraz niektórych spichlerzy w Grudziądzu.

Powszechnie kamienie te noszą miano „kul szwedzkich”, chociaż wiadomym jest, że Szwedzi w XVII w., w okresie „potopu”, nie używali już kul kamiennych; zresztą spotyka się je nie tylko w ścianach kościołów obronnych. Ponadto wielkość tych kamieni jest różnorodna, nie odpowiadająca często nawet kalibrowi największych dział ówczesnych.

Dopiero w XVIII w. ludność wiejska zabrała się energiczniej nieco i realniej do zabezpieczenia się przed klęskami głodu. Przy wielu wsiach zaczęto więc wznosić obszerne gromadzkie spichlerze-magazyny, które w latach pomyślnego urodzaju na-

pełniano zbożem. Każdy chłop zależnie od wielkości swojego gospodarstwa i zamożności musiał złożyć w magazynie gromadzkim pewną ilość zboża. W latach nieurodzaju, lub na przednówku każdy z mieszkańców wsi mógł wypożyczyć z tego magazynu gromadzkiego potrzebną mu ilość zboża, którą w tejże samej ilości winien był zwrócić natychmiast po zbiorach. Każdy taki magazyn gromadzki znajdował się pod stałą opieką sołtysa, wójta i starszyzny gromadzkiej i wznosił się zdala od wsi, aby w razie jej pożaru ogień nie ogarnął i magazynu. Nie tylko w nocy ale często wyznaczany stróż gromadzki, znajdujący się zaś w magazynie zboże co kilka dni przesypanyo, aby zabezpieczyć je przed zepsuciem.

Zbożowe magazyny gromadzkie przeżywały pod zaborem carskim do początków bieżącego stulecia, kiedy to nie tylko zboże, ale i same budynki magazynów zostały z rozporządzenia władz carskich sprzedane, zaś uzyskane za nie pieniądze złożone w bankach na rzecz każdej gromady wiejskiej. Od tego czasu poszczególni mieszkańcy wsi mogli w razie potrzeby zaciągnąć z sumy tej pożyczki w celu zakupu zboża za nie pieniądze. A dowóz zboża ułatwiali w tym czasie przeprowadzane linie kolejowe i szosy.

W ten sposób prawie wszystkie budynki dawnych wiejskich magazynów zbożowych, będących często ciekawymi okazami starego budownictwa regionalnego, znikły bezpowrotnie. Zaledwie parę okazów zachowało się do dziś przy poszczególnych wsiach, chociaż liczba ich zmniejsza się gwałtownie z roku na rok.

Tak np. stosunkowo niedawno rozebrano stare magazyny we wsiach Dobrzyniewo Duże i Gnita w powiecie białostockim. Znacznie lepiej przetrwały inne pamiątki „lat głodowych” — stare krzyże z modlitwami wzywającymi o odwrócenie klęski, oraz „kule szwedzkie” w ścianach starych kościołów.

RECENZJE

PRZEGLĄD ZABYTEKÓW WOJEWÓDZTWA POZNAŃSKIEGO

— pod takim tytułem ukazała się niedawno bardzo pożyteczna i potrzebna publikacja. Jest to bowiem wykazabytekówrozszanych na całym terenie województwa, wydany staraniem Konserwatora Wojewódzkiego w Poznaniu. Użyte tu przeze mnie słowo „wykaz” nie daje właściwego pojęcia co do rozmiaru publikacji — wykaz obejmuje 204 stronicę, wymienia zaś wszystkie obiekty architektoniczne, objęte dotychczas inwentaryzacją i ewidencją.

Układ „Przeglądu” jest prosty i przejrzysty: zabytki uszeregowano w podziale na powiaty, a w ich ramach w kolejności według porządku alfabetycznego nazw miejscowości. Poszczególne hasła podają kwalifikację stylową obiektów, w miarę da-

nych datę budowy i przebudów; wreszcie przy ważniejszych zabytkach także dane dotyczące fundatorów i twórców. Na podkreślenie zasługuje duża staranność, w jaką potraktowano wiejskie budownictwo drewniane; w niektórych powiatach znajdujemy bardzo dużo pozycji dotyczących chałup, a także wiatraków, co w tym miejscu z przyjemnością wzmiankujemy.

Jest to więc pełny wykaz katalogowy, który praktycznie musi wypełnić lukę, jaką stanowi brak niewydanego jeszcze dla tego terenu „Katalogu Zabytków Sztuki”, opracowywanego z ramienia Państwowego Instytutu Sztuki (sądzę, że nie popełnię niedyskrecji, zdradzając, że zeszyty trzech powiatów „Katalogu” znajdują się w druku).

Przegląd Zabytków województwa poznańskiego opracowany został przez zespół pracowników Urzędu Konserwatorskiego w Poznaniu, z wykorzystaniem materiałów zebranych przez inwentaryzatorów działających w ubiegłych latach z ramienia P.I.S.-u. Inicjatywę wydania publikacji poparło Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Poznaniu.

Publikację wydano w nakładzie 1000+20 egzemplarzy (numerowanych!). W tym sęk, że nie wiadomo, gdzie i za jaką cenę można ją kupić — księgarnie nie prowadzą rozprzedaży. Tak więc, mimo szczerzego pragnienia nie posiada jej ani Redakcja „Ziemi”, ani autor niniejszej notatki. (MK)

¹ Przegląd Zabytków Województwa Poznańskiego, Informator Wydziału Kultury Prezydium W.R.N. w Poznaniu, wydawca Wojewódzki Konserwator Zabytków w Poznaniu (1958 r.).

NOTATKI BIBLIOGRAFICZNE

Bero Józef Polska na mapach świata. „Wiedza i Życie” 1957, Nr 10, s. 618—622, ilustr. Bieda Tadeusz, Fiedor Karol, Kotelko Stanisław. Teksty źródłowe do historii Świdnicy i okolicy. Zestawili... (Wyd. 1). Red. Karol Maleczyński. — Wrocław 1958. Zakład Narod. im. Ossolińskich, cm 25×17,5 s. XXVII, 1 nrb., 124. Wrocławskie Towarzystwo Miłośników Historii — Sobótka. Seria B, z. 5, z. 25.— Grigorescu Ion. Tajemnice Delt. Rumuńska jakiej nie znamy. Tł. z rum. Raimond Florans. „Tygodnik Zachodni” 1957, nr 46, s. 3, ilustr. Hort Henry. Droga morską do Indii. Opowieść o podróżach morskich znakomitych czynach żeglarzy portugalskich oraz o życiu i czasach Vasco de Gama admirała, wicekróla Indii i hrabiego Vidigueiry. 1958. „Książka i Wiedza” cm 20×13, s. 444, tabl. 10, portr. 5, mapy 2 i 1 w tekście, bibliogr. s. 405—27, z. 26.— Kostrzewski Józef. Z dziejów badań archeologicznych w Wielkopolsce. (Wyd. 1. Okł. Zbigniew Klimczyk). — Wrocław 1958. Zakład Narod. im. Ossolińskich cm 20×14,5 s. 46, 1 nrb., ilustr. portr., mapa, Rys. Polskie Towarzystwo Archeologiczne. — Popularno naukowa Biblioteka Archeologiczna, nr 3. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza. Dzieje ruchu ludowego i historia chłopów w Polsce w książkach... Katalog adnotowany. — Warszawa 1958, cm 20,5×14, s. 13,3 nrb. Nowa Huta 2: Józef Dużyk. Od średniowiecza do XIX wieku. — Kraków 1957. Tow. Miłośników Hist. i Zabytków Krakowa, cm 20,5×14,5, s. 44,1 nrb., tabl. 9. Kraków Dawniej i Dziś, nr 10, z. 7.— Fiskorski Czesław. Międzyzdroje i okolice. (Okł. Zofia Rutkowska. Rys. Wiktor Roszkowska) Warszawa 1958. „Sport i Turystyka”, cm 16,5×12 s. 71,1 nrb., mapa 1, ilustr. Turystyka, Uzdrowiska, Wczasy, z. 4.— Popiołek Franciszek. Studia z dziejów Śląska Cieszyńskiego. (Wyd. 1). — Katowice 1958. „Śląsk” cm 23,5×16, s. 238,2 nrb., bibliogr. Śląski Instytut Naukowy w Katowicach — Brożek L.: Przedmowa. — M. in.: Bibliografia prac Franciszka Popiołka, z. 16,—

WEZWANIE



Napis: „PRZECHODNIU SZANUJ PIĘKNO GÓR PTT”, wycięty w korze drzewa na szlaku Krościenko — przełęcz Szopka. Sfotografował 4 czerwca 1958 r. Aleksander Frankowski

AKCJA BANKU

dr Rzepnikowski. Kierując na terenie Mazur i Warmii Organizacją Wojskową Pomorza, przygotowywał on wybuch powstania w ciągu lata 1919 roku. Policja wpadła na trop polskiej konspiracji, dr Rzepnikowski zdołał jednak zbiec do wolnych już części państwa polskiego, do Rypina.

Walkę plebiscytową przegraliśmy. Mazury i Warmia odcięte zostały od Polski. Lubawa i Lubawszczyzna stały się obszarami przygranicznymi. Dr Rzepnikowski zostaje pierwszym starostą polskim powiatu lubawskiego. Mimo nowych trudności nie zrezygnował z akcji osadniczej. W 1921—1929 zdołał paru lubawskich chłopów osiedlić pod Dąbrówną, w powiecie olsztyńskim i nidzickim.

Rok 1939 zamknął działalność Banku, a budynek jego w r. 1945 został kompletnie zniszczony.

Z działalności Banku Lubawskiego do dnia dzisiejszego pozostał ślad w obliczu demograficznym okolic Dąbrówna. Lubawianie stanowią znaczną grupę mieszkańców południowej części powiatu ostródzkiego.

K O N I E C



Powyższe zdjęcie nadesłał nam jeden z naszych wiernych (niestety nieczytelnie podpisujących się) Czytelników. Jak widzimy, nawet w czasie biwaku w zimną noc tatrzańską nie rozstawał się z egzemplarzem ZIEMI.

ROČZNIKI

Mamy jeszcze pewną ilość roczników „Ziemi” 1957. Cena kompletu 12 zeszytów bez oprawy — 60 zł + 5 zł na koszt przesyłki. Cena rocznika w trwałej oprawie płóciennej ze złożonymi napisami — 100 zł + 6 zł na koszt prze-

syłki. Wysyłamy roczniki w kolejności zamówień, po wpłaceniu całej sumy pocztą na adres redakcji (Kraków, ul. Basztowa 6) lub na konto NBP II OM w Krakowie nr 706-9-372, Zarząd Oddziału PTTK — z zastrzeżeniem: „dla ZIEMI”. Możemy wysłać też za zaliczeniem pocztowym zarówno roczniki jak i pojedyncze numery.

PROACID

w tabletkach — do nabycia w aptekach

PROACID

LECZY SKUTECZNIE CHOROBY
WRZODOWĄ ŻOŁĄDKA I NADKwasotę

„Ziołolek” Spółdzielnia Pracy Farmaceut.-Chemiczna, Poznań, Garbary 96

JELENIĘ Z MIROCINA



Kamienny kościół ze wsi Miocin, którego ozdobił okute drzwi reproduujemy na okładce. Fot. M. Kornecki.

Serię interesujących zabytków dawnej ślusarki i kowalstwa, zapoczątkowaną na łamach „Ziemi” — pragnę pomnożyć o ciekawy okaz: są nim okucia na drzwiach kościoła w Miocinie Dolnym (pow. Nowa Sól, woj. zielonogórskie).

W stosunku do innych znanych zabytków tego rodzaju — większość fragmentów okuć w Miocinie przedstawia się bardzo prymitywnie, a ich chaotyczne rozmieszczenie sprawia wrażenie, jakby w ich układzie moment dekoracyjności odsunięty został na plan dalszy. Zresztą poszczególne fragmenty nie są jednolite i obecny układ zapewne nie jest pierwotny.

Ale oto pośrodku kompozycji znajdujemy coś bardzo ciekawego: przedstawienia zwierzęce. Uwagę zwraca przede wszystkim biegający jeleni, za którym podążają dwa inne zwierzęta. Jeśli zechcemy widzieć w nich psy, otrzymamy scenę z polowania, którą to swobodnie potraktowaną kompozycją dawny rzemieślnik prymitywnie, lecz nie bez wdzięku — ozdobił drzwi kościoła. Powyżej „polowania” widzimy jeszcze dwa ptaszki, może kogutki?

Mniejsza zresztą z tym, czy kompozycja okuć ze zwierzętami miała posiadać jakąś wyraźną treść lub znaczenie — faktem jest, że całość stwarza efekt plastyczny i posiada wartość artystyczną. Drzwi z okuciami zdobią budynek gotycki, o surowej bryle pozbawionej subtelności detali. Kościół swą prostotą i fakturą ciemnych, prawie czarnych murów wzniesionych z kamienia i brył rudy darniowej — jest mimo skromnych rozmiarów monumentalny i w swym charakterze archaiczny. (MK)

Czwarty piec

Pan Jan Grajewski ze Skierniewic doniósł nam że widział kaflowy piec, taki sam jaki zamieściliśmy na ilustracjach w poprzednich numerach ZIEMI, w miejscowości Bratoszewice, położonej na linii Łowicz-Łódź. Piec znajduje się w tamtejszym pałacu, herby na kaflach wykonane są w kolorach granatowym i czarnym.

Wystawy

A teraz nieco o wystawach. Sezon wystaw sztuki ludowej — rozpoczyna się najczęściej przy okazji jakichś dni czy obchodów. Na przykład tegoroczne Dni Krakowa przyczyniły się do zorganizowania przez Krakowskie Muzeum Etnograficzne ciekawej wystawy pod nazwą „Zwyczaj ludowy”, zapoznajęcej zwiedzających nie tylko ze znanymi na ogół szopkami czy wieńcami dożynkowymi, ale i z ciastem obrzędowym, z dziadami noworocznymi itp.

W stolicy, z okazji Tygodnia Rozwoju Ziemi Zachodnich zorganizowano w Staromiejskim Domu Kultury wystawę sztuki ludowej województwa olsztyńskiego, obejmującą przede wszystkim tkaniny. Wystawa pokazała sztukę współczesną, łączącą motywy miejscowe z motywami regionów, z których przybyli obecnie zamieszkujący Olsztyńskie repatrianci i przesiedleńcy.

KRONIKA KRAJOZNAWCZA

Sesja biega

W dniach od 10 do 12 maja br. w Bieczu i Gorlicach odbyła się sesja naukowa poświęcona przeszłości ziem bieckiej i gorlickiej. Referaty wygłoszone przez historyków i socjologów z krakowskiego ośrodka naukowego (Doc. dr H. Bieniarzówna, dr Andrzej Zaki i in.) jak i historyków miejscowych w sposób wyczerpujący i ciekawy zobrazowały przeszłość tego nie tylko uroczego, ale i posiadającego bogatą przeszłość historyczną zakątka Polski. Być może, przy obecnie panującej modzie różnorodnych sesji owo biecko-gorlickie spotkanie nie zasługiwałoby na większą uwagę, gdyby nie fakt, że inicjatywa jego zwołania była w pełnym tego słowa znaczeniu „oddolna”. Że — przy wydatnej oczywiście pomocy finansowej PTTK i Polskiego Towarzystwa Historycznego — przede wszystkim sami miłośnicy ziem bieckiej postanowili prowadzonym nad tym regionem w rozmaitych dziedzinach wiedzy badaniom naukowym nadać formę całości i spopularyzować je wśród miejscowego społeczeństwa.

Cenne byłoby podjęcie podobnej inicjatywy przez inne ośrodki regionalne. Zorganizowanie podobnych sesji, nawet w skromnym zakresie, przynieść może korzyści nie tylko nauce, ale przede wszystkim miejscowej ludności.

Rezerwat

Wzbogacił się w tym roku o kilka nowych rezerwatów przyrody. Aby zachować pierwotną roślinność torfowiskową, za rezerwat uznano torfowisko „Zórawie Bagno” o pow. ok. 5,5 ha w leśnictwie Ostrówka (pow. nowomiejski, woj. olsztyńskie). Rezerwat „Buczyna” utworzony został w leśnictwie Buczyna w pow. obornickim (woj. poznańskie) na obszarze ok. 16 ha lasu bukowego. Natomiast dla zachowania lasu mieszanego ze stanowiskiem brekiny postanowiono uznać za rezerwat ok. 11 ha lasu w leśnictwie Kamień (woj. opolskie).

Ruchliwa Łódź

Ostatnio daje się zaobserwować żywą działalność szeregu członków PTTK w zakresie ochrony tradycji, zabytków, przyrody i w dziedzinie popularyzacji krajoznawstwa. Przykładem takiej ciekawej inicjatywy jest przystąpienie miłośników miejscowych tradycji do inwentaryzacji zabytków. Łódzianie-krajoznawcy np. sporządzili już prowizoryczny wykaz szczególnego rodzaju zabytków budownictwa fabrycznego, w przeważającej mierze XIX-wiecznego. W odczuciu większości ludzi XIX-wieczny budynek, w dodatku fabryczny, to żaden zabytek. A jednak praca łódzkich krajoznawców ma w rzeczywistości ogromne znaczenie dla badań historycznych naszych ośrodków przemysłowych.

Tu również zorganizowano konkurs fotograficzny dla amatorów, na temat „Ziemia słupska w oczach turysty łódzkiego”. Jak wiadomo, w ramach akcji rozwoju Ziemi Zachodnich, Łódź nawiązała ścisłą współpracę ze Słupskiem.

Gruszki na wierzbie

„Gruszki na wierzbie” — to wcale nie takie nieprawdopodobne stwierdzenie. Okazuje się bowiem, że istnieje gatunek gruszy o liściach ludzko podobnych do wierzby. Łódzianie szczycą się posiadaniem takiego „drzewa”. Któżby ono w środkowej części parku Sienkiewicza — i jesienią roduzi autentyczne gruszki. Podobne wierzbo-gruszki rosną także w parku zdrojowym w Szczawnicy.

W NASTĘPNYCH
NUMERACH

FOT. W. ZUBRZYCKI



ANARCHIA
CZY
ARCHITEKTURA?

NOWY
CYKL
ARTYKUŁÓW
O
PROJEKTOWANIU
KRAJOBRAZU



TRYLOBIT KAMBRYJSKI Z PENNSYLVANII

O
SKO
KU
NA
GŁO
WE



O DREWNIANYCH
ZWIERZĘTACH
WIEJSKIEGO
RZĘBIARZA
SPÓD RADOMSKA

O ODCZYTANYM ZE SKAMIELIN
ŻYCIU WYMARŁEGO GATUNKU

FOT. M. MAŚLIŃSKI

